

STENDHAL

KRONIKI

WŁOSKIE

Stendhal

Kroniki włoskie

«Public Domain»

Stendhal

Kroniki włoskie / Stendhal — «Public Domain»,

Kroniki włoskie Stendhala to zbiór opowiadań, które swoją inspirację mają w starych włoskich rękopisach odkrytych przez autora. Akcja utworów dzieje się w czasach renesansu we Włoszech, a ich bohaterki i bohaterowie uwikłani są w dramatyczne romanse i intrygi na dworach królewskich i papieskich. Kroniki włoskie to również doskonały zapis odrodzeniowej obyczajowości. Utwór został napisany w latach 1836–39, opublikowany po raz pierwszy w 1839 roku. Polskiego tłumaczenia dokonał Tadeusz Boy-Żeleński. Marie-Henri Beyle, piszący pod pseudonimem Stendhal, to jeden z najśłynniejszych francuskich pisarzy początku XIX wieku. Był prekursorem realizmu w literaturze — uważał, że zostanie zrozumiany dopiero przez przyszłe pokolenia. Sformułował koncepcję powieści-zwierciadła.

Содержание

Ksieni z Castro	5
I	5
II	9
III	20
IV	25
Конец ознакомительного фрагмента.	30

Kroniki włoskie

Ksieni z Castro

I

Melodramat pokazał nam tyle razy rozbójników włoskich szesnastego wieku i tyle osób mówiło o nich bez znajomości przedmiotu, że obecnie mamy o nich najfałszywsze pojęcia. Można rzec ogólnie, że rozbójnicy ci byli *opozycją* przeciw okrutnym rządóm, które zajęły we Włoszech miejsce średniowiecznych republik. Nowy tyran był to zazwyczaj najbogatszy obywatel pogrzebanej republiki, który aby pozyskać sobie lud, zdobił miasta wspaniałymi kościołami i pięknymi obrazami. Tacy byli Polentini w Rawennie, Manfredi w Faenza, Riario w Imola, Cane w Weronie, Bentivoglio w Bolonii, Visconti w Mediolanie i wreszcie najmniej wojowniczy, a najobłudniejszy ze wszystkich Medyceusze we Florencji. Spomiędzy historyków tych małych państewek żaden nie ośmielił się opisać niezliczonych otruc i mordów spowodowanych strachem, który nękał tych małych tyranów; owi poważni historycy byli na ich żołądziej. Zważcie, że każdy z tych tyranów znał osobiście każdego z republikanów, o których wiedział, że go nienawidzą (wielki książę Toskanii, Kosma, znał na przykład Strozzięgo), że wielu z tych tyranów zginęło gwałtowną śmiercią, a zrozumiecie głębokie nienawiści, wiekuiącą nieufność, które dały Włochom szesnastego wieku tyle inteligencji i odwagi, a tyle geniuszu ich artystom. Ujrzyście, iż owe namiętności nie pozwoliły się rozwinąć dość pociesznemu przesądowi z epoki pani de Sévigné, który nazwano *honorem*, a który polegał zwłaszcza na tym, aby poświęcić życie dla swego pana i dla spodobania się damom. W szesnastym wieku we Francji działalność mężczyzny i jego istotna wartość mogły się objawić i zyskać podziw jedynie na polu bitwy lub w pojedynkach; że zaś kobiety lubią odwagę, a zwłaszcza junactwo, stały się one najwyższymi sędziami wartości mężczyzn. Wówczas to zrodził się *duch galanterii*, który sprowadził stopniowe zamieranie wszystkich namiętności, a nawet miłości, na rzecz okrutnego tyrań, któremu poddajemy się wszyscy: próżności. Królowie popierali próżność i mieli rację: stąd władza wstążeczki orderowej.

We Włoszech człowiek wyróżniał się czynem *wszelkiego rodzaju*, pchnięciem szpady, jak odkryciem dawnego rękopisu; patrz Petrarke, bożyszcze swoich czasów. Kobieta w XVI wieku kochała człowieka biegłego w greczyźnie tyleż, i więcej, ile by kochała wślawionego odwagą na polu bitwy. Wówczas widziało się namiętności, a nie odruch galanterii. Oto wielka różnica między Włochami a Francją; oto czemu Włochy dały życie Rafaelom, Giorgionom, Tycjanom, Correggiom, gdy Francja wydała owych wszystkich wielkich rycerzy XVI wieku, nie znanych dzisiaj, z których każdy pozabijał tak wielką liczbę nieprzyjaciół.

Proszę mi darować te surowe prawdy. Jak bądź się rzeczy mają, okrutne i *konieczne* pomsty na małych tyranach włoskich w średnich wiekach pozyskały rozbójnikom serce ludności. Nienawidzono bandytów, kiedy kradli konie, zboże, pieniądze, słowem rzeczy potrzebne do życia; ale w głębi serca lud był po ich stronie, a dziewczęta wiejskie przekładały nad wszystkich młodego chłopca, który bodaj raz w życiu zmuszony był *andar alla machia*, to znaczy umykać w las i szukać schronienia u zbójców po jakimś nierozważnym czynie.

Za naszych czasów jeszcze każdy, oczywiście, lęka się spotkania z rozbójnikami; ale kiedy ich dosięgnie kara, każdy współczuje z nimi. To stąd, że ów naród tak inteligentny, tak drwiący, który śmieje się ze wszystkich manifestów wydanych pod cenzurą swoich panów, namiętnie czytuje poemaciki opowiadające z zapalem życie najslawniejszych bandytów. Heroizm mieszczący się w tych opowiadaniach porusza strunę artystyczną, która zawsze żyje w *niższych klasach*. Zresztą ten lud

jest tak znudzony urzędowymi pochwałami oddawanymi pewnym ludziom, że wszystko, co nie jest oficjalne, trafia mu prosto do serca. Trzeba wiedzieć, że prosty lud we Włoszech ma pewne bolączki, których podróżny, choćby żył w tym kraju dziesięć lat, nie spostrzegłby nigdy. Na przykład przed piętnastu laty, zanim roztropność rządów wytepiła zbójców¹, nierzadko zdarzało się, że wyprawy ich miały na celu ukaranie niesprawiedliwości *gubernatorów* w małych miastach. Gubernatorzy ci, samowładni urzędnicy o płacy nie przewyższającej dwudziestu talarów miesięcznie, są oczywiście na żołądź najznacniejszej rodziny, która za pomocą tego bardzo prostego środka gnębi swoich wrogów. Jeżeli zbójcom nie zawsze się udawało skarać tych małych despotów, przynajmniej drwili sobie z nich i płatali im psoty, co jest niedrobną rzeczą w oczach tego dowcipnego ludu. Satyryczny sonet pociesza Włocha po wszystkich niedolach, a zniewagi nie zapomina on nigdy. Oto druga zasadnicza różnica między Włochem i Francuzem.

Skoro w szesnastym wieku gubernator skazał na śmierć biednego mieszkańca znienawidzonego przez możną rodzinę, często zbójcy napadali na więzienie i próbowali uwolnić ofiarę. Ze swej strony potężne rodziny, nie ufając zbyt ośmiu czy dziesięciu rządowym żołnierzom mającym strzec więźnia, wystawiały swoim kosztem oddział żołnierzy najemnych. Żołnierze ci, których nazywano *bravi*, biwakowali w pobliżu więzienia i podejmowali się odprowadzić aż na miejsce kaźni nieboraka, którego śmierć kupiono. Jeśli wpływowa rodzina miała w swoim gronie młodego człowieka, stawał on na czele tych improwizowanych żołnierzy.

Ten stan cywilizacji okropny jest z punktu widzenia moralności, przyznaję; za naszych czasów mamy pojedynek, nudę i nieprzedajnych sędziów; ale te obyczaje szesnastego wieku cudownie wspomagały produkcję mężczyzn godnych tego imienia.

Wielu historyków, wychwalanych do dziś przez pełną rutyny literaturę Akademii, siliło się ukryć ten stan rzeczy, który około roku 1550 stworzył tak wielkie charaktery. Współcześnie ostrożne ich kłamstwa nagradzano wszystkimi zaszczytami, jakimi mogli rozporządzać Medyceusze we Florencji, Este w Ferrarze, wicekrólowie Neapolu etc. Pewien biedny historyk nazwiskiem Giannone chciał uchylić rąbek zasłony; że jednak ośmielił się powiedzieć jedynie część prawdy, i to pod osłoną powątpiewań i niejasności, pozostał bardzo nudny, co mu nie przeszkodziło umrzeć w więzieniu w osiemdziesiątym drugim roku życia 7 marca roku 1758.

Pierwszą tedy rzeczą, jeśli się chce poznać historię Włoch, to nie czytać autorów powszechnie uznanych; nigdzie lepiej nie znano ceny kłamstwa, nigdzie lepiej nie było ono opłacane.²

Pierwsze kroniki, które pisano we Włoszech po głębokim barbarzyństwie dziewiątego wieku, wspominają już o zbójcach i mówią o nich tak, jakby istnieli od niepamiętnych wieków (patrz zbiór Muratoriego). Kiedy nieszczęściem dla powszechnego dobra, dla sprawiedliwości, dla dobrych rządów, ale szczęściem dla sztuki średniowieczne republiki zostały zdławione, najenergiczniejsi republikanie, ci, którzy kochali wolność bardziej niż większość ich współobywateli, schronili się w lasy. Oczywiście lud gnębiony przez Baglionich, Malatestów, Bentivogliów, Medyceuszów kochał i szanował ich wrogów. Okrucieństwa małych tyranów, którzy nastąpili po pierwszych uzurpatorach, na przykład okrucieństwa Kosmy, pierwszego wielkiego księcia Florencji, który kazał mordować republikanów szukających schronienia w Wenecji, nawet w Paryżu, dostarczały zaciągu tym zbójcom. Aby pozostać w czasach bliskich tym, w których żyła nasza bohaterka, około roku 1550, Alfons Piccolomini, książę Monte Mariano i Marco Sciarra dowodzili z powodzeniem uzbrojonymi bandami, które w okolicach Albano urągały żołnierzom papieskim, wówczas bardzo dzielnym. Linia

¹ przed piętnastu laty, zanim roztropność rządów wytepiła zbójców – Gasparone, ostatni zbójca, poddał się rządowi w 1826; jest uwięziony ze swoimi trzydziestoma dwoma ludźmi w cytadeli w Civitavecchia. Do poddania się zmusił go brak wody na szczytach Apeninów, gdzie się schronił. Jest to człowiek inteligentny o ciekawej twarzy. [przypis autorski]

² Pierwszą tedy rzeczą, jeśli się chce poznać historię Włoch, to nie czytać autorów powszechnie uznanych; nigdzie lepiej nie znano ceny kłamstwa, nigdzie lepiej nie było ono opłacane. – Paweł Gioivo, biskup w Como, Aretino i stu innych mniej zabawnych, których nuda, jaką zieją, ocaliła od niesławy, Robertson, Roscoe pełni są kłamstw. Guicciardini sprzedał się Kosmie I, który drwił sobie z niego. Za naszych czasów Coletta i Pignotti mówili prawdę, ten ostatni w stałym strachu, że go usuną ze stanowiska, chociaż chciał, aby go drukowano dopiero po jego śmierci. [przypis autorski]

operacyjna tych słynnych wodzów, których lud do dziś podziwia, ciągnęła się od Padu i bagien raweńskich aż do lasów, które wówczas pokrywały Wezuwiusz. Las Faggiola, tak wślawiony ich czynami, a położony o pięć mil od Rzymu, na drodze do Neapolu, był generalną kwaterą Sciarry, w której za pontyfikatu Grzegorza XIII skupiało się niekiedy po kilka tysięcy żołnierzy. Szczegółowa historia tego znamienitego bandyty byłaby nie do wiary w oczach obecnego pokolenia, w tym sensie, że nikt nie zechciałby zrozumieć pobudek jego czynów. Pokonano go aż w roku 1592. Kiedy ujrzał, że sprawa jest stracona, wdał się w układy z Rzeczpospolitą Wenecką i przeszedł w jej służby ze swymi najwierniejszymi lub najbardziej występnyymi (jak kto woli) żołnierzami. Na żądanie rządu rzymskiego Wenecja, która podpisała układ ze Sciarra, kazała go zamordować, dzielnych zaś jego żołnierzy posłała na obronę wyspy Kandii przeciw Turkom. Ale roztropna Wenecja wiedziała, że na Kandii panuje mordercza zaraza; jakoż w kilka dni z pięciuset żołnierzy, których Sciarra oddał w służbę republiki, pozostało sześćdziesięciu siedmiu.

Ten las Faggiola, którego olbrzymie drzewa pokrywają dawny wulkan, był ostatnim teatrem czynów Marka Sciarra. Każdy podróżnik powie wam, że jest to najwspanialsza okolica owej cudnej Campagna Romana, której posępny wygląd jest jak stworzony dla tragedii. Las ten wieńczy swą ciemną zielenią szczyty Albano.

Wspaniałą tę górę zawdzięczamy jakiejś erupcji wulkanicznej, wcześniejszej o wiele wieków niż założenie Rzymu. W epoce, która poprzedziła wszelką historię, wyrosła ona wśród rozległej równiny rozciągającej się niegdyś między Apeninami a morzem. Monte Cavi, która wznosi się otoczona mrokami lasu Faggiola, jest jej szczytowym punktem, widzi się ją zewsząd, z Terracyny i z Ostii, jak z Rzymu i z Tivoli; góra zaś Albano, obecnie pokryta pałacami, stanowi zakończenie tego rzymskiego widnokregu, tak słynnego wśród podróżnych. Klasztor czarnych mnichów zastąpił na szczycie Monte Cavi świątynię Jowisza Feretryjskiego, gdzie ludy łacińskie przychodziły składać wspólnie ofiary i zacieśniać węzły swego rodzaju federacji religijnej. Osłonięty cieniem wspaniałych kasztanów, podróżny dociera w kilka godzin do olbrzymich złomów będących ruiną świątyni Jowisza; ale z owego cienia, tak rozkosznego w tym klimacie, dziś nawet wędrowiec spogląda z niepokojem w głąb lasu: lęka się bandytów. Przybywszy na szczyt Monte Cavi, rozpala się ogień w ruinach świątyni, aby zgotować pożywienie. Z tego punktu, górującego nad całą Campagna Romana, widzi się ku zachodowi morze, które wydaje się o dwa kroki, mimo że jest o trzy lub cztery mile; rozróżnia się najmniejszy statek; przy pomocy najslabszej lunety można policzyć ludzi udających się do Neapolu na statku parowym. Na wszystkie inne strony oko biegnie po wspaniałej równinie, która kończy się na wschód Apeninem, ponad Palestrina, na północ zaś bazyliką św. Piotra oraz innymi wielkimi budowlami Rzymu. Ponieważ szczyt Monte Cavi nie jest zbyt wysoki, oko rozróżnia najdrobniejsze szczegóły tego wspaniałego kraju, który mógłby się obejść bez glorii historycznej, a w którym wszelako każdy gaik, każdy złom wyszczerbionego muru widziany na równinie lub na zboczu gór przypomina którąś z owych bitew, tak cudownych patriotyzmem i męstwem, opowiedzianych przez Liwiusza.

Jeszcze za naszych dni, aby dojść do olbrzymich złomów, resztek świątyni Jowisza Feretryjskiego tworzących mur ogrodu czarnych mnichów, można iść drogą triumfalną, którą szli niegdyś pierwsi królowie Rzymu. Wyłożona jest kamieniami ciosanymi bardzo regularnie; w lesie Faggiola znajdują się długie pasy tej drogi.

Na brzegu wygasłego krateru, który, wypełniony obecnie przezroczystą wodą, zmienił się w owo ładne jezioro Albano, mające pięć czy sześć mil obwodu i oprawne w skałę z lawy, leżała niegdyś Alba, macierz Rzymu, którą polityka rzymska zniweczyła za pierwszych królów. Mimo to ruiny jej istnieją jeszcze. W kilka wieków później o ćwierć mili od Alby, na stoku biegnącym ku morzu, wyrosło Albano, ale to nowoczesne miasto odgradzone jest od jeziora zasłoną ze skał, które kryją jezioro miastu, a miasto jezioru. Kiedy się je widzi z równiny, białe jego budynki odznaczają się na ciemnej i głębokiej zieleni owego lasu tak drogiego bandytom i tak często wślawionego, który wieńczy ze wszech stron wulkaniczną górę.

Albano, liczące dziś pięć do sześciu tysięcy mieszkańców, nie miało ani trzech tysięcy w roku 1540, kiedy wśród pierwszych rodzin szlacheckich kwitnął potężny ród Campireali, którego nieszczęścia mamy opowiedzieć.

Tłumaczę tę historię z dwóch obszernych rękopisów: jeden rzymski, a drugi florencki. Z wielkim swoim niebezpieczeństwem ośmieliłem się odtworzyć ich styl, niemal będący stylem naszych starych legend. Wykwintny i pełen umiaru styl dzisiejszy nie bardzo, jak mi się zdaje, godziłby się z treścią wypadków, a zwłaszcza z uwagami autorów. Pisali koło roku 1598. Proszę czytelnika o pobłażanie dla nich i dla mnie.

II

Spisawszy tyle tragicznych historii, powiada autor rękopisu florenckiego, zakończę tą, którą mi jest najciężej opowiedzieć. Będę mówił o słynnej ksieni klasztoru wizytek w Castro, Helenie de Campireali, której proces i śmierć tyle dały do gadania w wielkim świecie Rzymu i całych Włoch. Już około roku 1555 bandyci władali w okolicach Rzymu, urzędnicy zaś byli zaprzędani możliwym rodzinom. W 1572, to jest w roku procesu, Grzegorz XIII Buoncompagni wstąpił na stolec św. Piotra. Ten święty kapłan jednoczył wszystkie apostołskie cnoty, ale jego cywilnemu zarządowi można było zarzucić niejaką słabość; nie umiał ani dobrać uczciwych sędziów, ani też powściągnąć bandytów; gryzł się zbrodniami, a nie umiał ich karać. Zdawało mu się, iż skazując kogoś na karę śmierci, bierze na siebie straszliwą odpowiedzialność. Wynikiem tego usposobienia było, że gościńce wiodące do wiecznego miasta zaludniły się nieprzeliczoną mnogością złoczyńców. Aby podróżować z niejakim bezpieczeństwem, trzeba było być w przyjaźni z bandytami. Las Faggiola, który przecinała droga wiodąca do Neapolu przez Albano, był od dawna generalną kwaterą rządu wrogiego rządowi Jego Świątobliwości i niejedną raz Rzym zmuszony był traktować, jak równy z równym, z Markiem Sciarra, jednym z królów lasu. Siłą bandytów stanowiło to, że posiadali przychylność okolicznych wieśniaków.

Owo ładne miasteczko Albano, tak bliskie generalnej kwatery bandytów, dało życie w roku 1542 Helenie de Campireali. Ojciec jej uchodził za najbogatszego patrycjusza w okolicy, dzięki czemu zaślubił Wiktorię Carafa, dziedziczkę wielkich włości w Królestwie Neapolitańskim. Mógłbym przytoczyć starców, którzy żyją jeszcze, a którzy bardzo dobrze znali Wiktorię Carafa i jej córkę. Wiktoria była wzorem statku i rozumu; ale mimo swego wielkiego umysłu nie mogła zapobiec upadkowi rodziny. Rzecz osobliwa, okropnych nieszczęść, które będą smutnym przedmiotem mego opowiadania, nie można, jak sądzę, przypisać w szczególności żadnemu z ich aktorów, których przedstawię czytelnikowi: widzę nieszczęśliwych, ale zaiste nie mogę znaleźć winnych. Niezwykła piękność i tkliwa dusza młodej Heleny – oto były dwa wielkie niebezpieczeństwa. One to służyły za usprawiedliwienie dla Juliana Branciforte, jej kochanka; tępota monsignora Cittadini, biskupa z Castro, też może do pewnego stopnia być jej wymówką. Swoją szybki awans po szczeblach godności duchownych zawdzięczał on swej pocziwości, a zwłaszcza swej wielce szlachetnej urodzie oraz najskończeniej³ pięknej fizjonomii, jaką zdarza się spotkać. Czytałem o nim, że nie można go było ujrzyć, a nie pokochać.

Ponieważ nie chcę pochlebiać nikomu, nie będę ukrywał, że pewien święty mnich z klasztoru Monte Cavi, którego niejedną raz zdybano w celi wznoszącego się na kilka stóp ponad ziemię, jak św. Paweł, w ten sposób, iż nic prócz łaski bożej nie mogło go podtrzymać w tej niewygodnej pozycji⁴, przepowiedział panu Campireali, że jego ród wygaśnie wraz z nim i że będzie miał tylko dwoje dzieci, które oboje zginą gwałtowną śmiercią. Z przyczyny tej przepowiedni nie mógł znaleźć żony w swoich stronach i udał się szukać fortuny do Neapolu, gdzie miał istotnie to szczęście, iż znalazł wielki majątek i kobietę zdolną geniuszem swoim odmienić jego zły los, gdyby rzecz taka w ogóle była możliwa. Ów pan Campireali uchodził za pocziwego człowieka i czynił wielkie jałmużny; ale zgoła był wyzuty z dowcipu, co sprawiło, iż stopniowo usunął się z Rzymu i spędzał w końcu cały prawie rok w swoim pałacu w Albano. Oddawał się uprawie swoich ziem, położonych na tej bogatej równinie,

³ najskończeniej (daw.) – najdoskonalej. [przypis edytorski]

⁴ mnich z klasztoru Monte Cavi, którego niejedną raz zdybano w celi wznoszącego się na kilka stóp ponad ziemię, jak św. Paweł, w ten sposób, iż nic prócz łaski bożej nie mogło go podtrzymać w tej niewygodnej pozycji – jeszcze dzisiaj ta wyjątkowa pozycja uważana jest przez lud Kampanii Rzymskiej za pewny znak świętości. Około roku 1826 widziano, jak pewien mnich z Albano wznosił się wielokrotnie nad ziemię wskutek łaski bożej. Przypisywano mu wiele cudów, przybiegano z dwudziestu mil wokoło, aby otrzymać jego błogosławieństwo; kobiety należące do najwyższych klas społeczeństwa widziały go, jak się utrzymuje nad ziemią na wysokości trzech stóp. Potem nagle znikł. [przypis autorski]

która się ciągnie pomiędzy miastem a morzem. Za radą żony wspaniale wychował syna swego, Fabia, młodzieńca bardzo dumnego ze swego urodzenia, oraz córkę Helenę, która była cudownie piękna, jak to można poznać jeszcze z jej portretu znajdującego się w zbiorach Farnese. Od czasu jak zacząłem pisać jej historię, zachodziłem do pałacu Farnese, aby oglądać śmiertelną powłokę daną od nieba tej kobiecie, której nieszczęścia narobiły w swoim czasie tyle hałasu i dotąd jeszcze zaprzatają pamięć ludzką. Kształt głowy tworzy wydłużony owal, czoło bardzo rozległe, włosy ciemnoblonde. Fizjonomia raczej wesoła; miała duże oczy z głębokim wyrazem i kasztanowate brwi tworzące łuk o doskonałym rysunku. Wargi są bardzo cienkie: można by rzec, że zarys ust wykreślił słynny malarz Correggio. Oglądana wśród portretów otaczających ją w galerii Farnese, robi wrażenie królowej. Rzadka to rzecz, aby wesołość łączyła się z majestatem.

Spędziwszy osiem lat jako wychowanka w klasztorze wizytek w Castro, obecnie zburzonym, dokąd przeważnie posyłano córki magnatów rzymskich, Helena wróciła do domu; ale nim opuściła klasztor, ofiarowała wspaniały kielich na wielki ołtarz do kościoła. Ledwie wróciła do Albano, ojciec jej sprowadził z Rzymu, za znaczną pensję, słynnego poetę Cechino, wówczas bardzo sędziwego; ów wzbogacił pamięć Heleny najpiękniejszymi wierszami boskiego Wergiliusza, Petrarcki, Ariosta i Dantego, jego słynnych uczniów.

Tu tłumacz opuścił długą rozprawę o rozmaitych stopniach chwały, jaką w XVI wieku przyznawano tym wielkim poetom. Zdaje się, że Helena umiała po łacinie. Wiersze, których ją uczono, mówiły o miłości, i to o miłości, która gdybyśmy ją spotkali w roku 1839, zdałaby się nam bardzo śmieszna; chcę rzec o miłości namiętnej, która się żywi wielkimi poświęceniami, może istnieć jedynie tajemnicą i zawsze sąsiaduje z najstraszliwszymi nieszczęściami.

Taką była miłość, którą umiał obudzić w Helenie, wówczas ledwie siedemnastoletniej, Julian Branciforte. Był to sąsiad jej, bardzo ubogi; mieszkał w lichym domku w górach, o ćwierć mili od miasta, wśród ruin Alby, nad brzegiem przepaści wysokiej na sto pięćdziesiąt stóp, wyścielonej zielenią, która okala jezioro. Domek ten, przylegający do posępnych i wspaniałych mroków lasu Faggiola, zburzono później, gdy wzniesiono klasztor Pallazuola. Ten ubogi młodzian miał na swą korzyść jedynie dziarską i zwinną postać oraz beztroskę, z jaką znosił biedę. Wszystko, co można było rzec o nim najlepszego, to iż rysy jego były wyraziste, choć niepiękne. Ale mówiono o nim, iż walczył dzielnie pod rozkazami księcia Colonna wśród jego *bravi* w paru bardzo niebezpiecznych potrzebach. Mimo jego ubóstwa, mimo braku urody serce jego byłoby w oczach dziewcząt z Albano zdobyczą nader pochlebną. Mile witany wszędzie, Julian Branciforte znał jedynie miłostki, aż do chwili kiedy Helena wróciła z klasztoru w Castro. Kiedy wkrótce potem wielki poeta Cechino przeniósł się z Rzymu do pałacu Campireali, aby kształcić umysł tej młodej panienki, Julian, który go znał, wystosował doń łaciński utwór wierszem o szczęściu, jakie spotkało jego starość, że tak piękne oczy wlepiają się w jego oczy i że dusza tak czysta czuje się doskonale szczęśliwa, kiedy on raczy przychwalić jej myśli. Zazdrość i żal młodych dziewcząt, z którymi Julian przestawał przed przybyciem Heleny, udaremniła niebawem wszelkie ostrożności, jakie rozwijał, aby ukryć rodzącą się namiętność; jakoż wyznaje, że ta miłość dwudziestodwuletniego młodzieńca i siedemnastoletniej panny objawiła się w sposób, którego rozsądek nie mógłby pochwalić. Trzy miesiące nie upłynęło, jak pan Campireali spostrzegł, że Julian Branciforte przechadza się zbyt często pod oknami jego pałacu (który istnieje jeszcze w połowie wielkiej ulicy wiodącej ku jezioru).

Obyczaje wówczas były szorstkie i szczere, zgodne z wolnością republikańską; polor monarchii nie zdławił jeszcze gwałtownych namiętności. Widać to jasno z postępuku pana Campireali. Tegoż dnia, w którym uderzyła go częsta obecność młodego Branciforte, ozwał się w te słowa:

– Jak ty śmiesz włóczyć się bez ustanku pod domem i zaglądać bezczelnie w okna mojej córki, ty, który nie masz nawet w co się odziać? Gdybym się nie obawiał, że sąsiedzi źle sobie wytłumaczą mój postępek, dałbym ci trzy cekiny, abys poszedł do Rzymu kupić sobie przyzwoite ubranie. Przynajmniej moich oczu i oczu mojej córki nie obrażałby tak często widok twoich łachmanów.

Ojciec Heleny przesadzał zapewne: suknie młodego Branciforte to nie były łachmany; były sporządzone z bardzo prostego materiału; ale mimo że czyste i często szcztokowane, trzeba przyznać, że wygląd ich zdradzał długie użycie. Julian był tak strapiony wymówkami pana Campireali, że nie pojawił się już za dnia pod domem.

Jak wspomnieliśmy, dwie arkady, szczątek starożytnego wodociągu, służące za główną ścianę domkowi wzniesionemu przez ojca Juliana i zostawionemu w spadku synowi, leżały o niespełna sześćset kroków od Albano. Aby się dostać do nowego miasta, Julian musiał przechodzić koło pałacu Campireali; toteż Helena zauważyła rychło nieobecność tego szczególnego młodzieńca, który jak szeptały jej przyjaciółki, zerwał wszelkie inne stosunki, aby się cały oddać szczęściu patrzenia na nią.

Pewnego letniego wieczora, koło północy, okno Heleny było otwarte; młoda dziewczyna oddychała powiewem od morza, który bardzo dobrze było czuć na wzgórzu Albano, mimo że miasto dzieliła od morza równina szeroka na trzy mile. Noc była ciemna, panowała głęboka cisza; można było usłyszeć spadający listek. Helena, wsparta na oknie, myślała może o Julianie, kiedy ujrzała coś niby skrzydło nocnego ptaka, przesuwające się z wolna tuż za oknem. Cofnęła się przestraszona. Nie przyszło jej na myśl, że przedmiotem tym mógł kierować jakiś przechodzień; okno jej, na drugim piętrze pałacu, wznosiło się przeszło na pięćdziesiąt stóp nad ziemią. Naraz spostrzegła, że ten osobliwy przedmiot to bukiet, który w głębokiej ciszy przesuwa się tam i z powrotem przed oknem, o które się wspierała; serce zaczęło jej bić gwałtownie. Bukiet ten umieszczony był na końcu kilku związanych z sobą tyczek, trzcin podobnych do bambusu, które rosną w okolicach Rzymu i dają łodygi wysokie na dwadzieścia lub trzydzieści stóp. Dość silny wiatr był przyczyną, iż słaba trzcina z trudnością zdołała utrzymać bukiet tuż pod oknem, w którym wedle przypuszczeń Juliana znajdowała się Helena; zresztą noc była tak ciemna, że z ulicy nie można było nic dojrzeć na takiej wysokości. Helena, która stała nieruchomo przy oknie, uczuła się mocno wzruszona. Wziąć ten bukiet, czyż to nie było wyznanie? Nie doznawała zresztą żadnego z uczuć, które tego rodzaju przygoda obudziłaby dziś w młodej panience z dobrego towarzystwa, przygotowanej do życia starannym wychowaniem. Ponieważ ojciec i Fabio znajdowali się w domu, pierwszą jej myślą było, że najmniejszy hałas spowodowałby wystrzał muszkietu wymierzony w Juliana; ulitowała się niebezpieczeństw, na jakie narażał się biedny młodzieniec. Drugą myślą było, iż mimo że go znała jeszcze bardzo mało, był on wszakże istotą, którą kocha najbardziej w świecie po własnej rodzinie. Wreszcie po chwili wahania wzięła bukiet. Dotykając kwiatów w głębokiej ciemności uczuła, że do łodygi przywiązany jest list; pobiegła na schody, aby go odczytać przy blasku lampki płonącej przed obrazem Madonny. „Niebaczna! – powiadała sobie, rumieniąc się ze szczęścia przy pierwszych słowach listu – jeśli mnie ktoś zobaczy, jestem zgubiona, a rodzina moja na wieki będzie prześladowała tego biednego młodzieńca.” Wróciła do pokoju i zapaliła lampkę. Była to rozkoszna chwila dla Juliana, który wstydząc się swego kroku i jakby chcąc się ukryć jeszcze, mimo ciemnej nocy, tulił się do olbrzymiego pnia dębu, jednego z owych drzew o dziwacznych kształtach, które dziś jeszcze rosną na wprost pałacu Campireali.

W liście swoim Julian opowiadał z najzupełniejszą prostotą upokarzającą połajankę, jaka go spotkała ze strony ojca Heleny:

Jestem biedny, to prawda – ciągnął – niełatwo wyobraziłabyś sobie Pani bezmiar mego ubóstwa. Mam tylko swój dom, który może zauważyłaś koło ruin albańskiego wodociągu; przy domu ogródek, który sam uprawiam i z którego warzywo stanowi mą żywność. Mam jeszcze winnicę, wydzierżawioną za trzydzieści talarów rocznie. Nie wiem w istocie, czemu Cię kocham; to pewna, że nie mogę żądać, abyś dzieliła mą nędzę. A przecież, jeśli Ty mnie nie pokochasz, życie straci dla mnie wszelką wartość; zbyteczne mówić, że oddałbym je tysiąc razy dla Ciebie. A wszakże przed Twoim powrotem z klasztoru życie to nie było nieszczęśliwe; przeciwnie, wypełniały je najświetniejsze marzenia. Toteż mogę powiedzieć, że widok szczęścia uczynił mnie nieszczęśliwym. Z pewnością wówczas nikt w świecie nie ośmieliłby się rzec mi słów, którymi mnie splugawił Twój ojciec; sztylet mój wymierzyłby mi sprawiedliwość. Wówczas, przy mojej odwadze i broni, czułem się równy

każdemu w świecie; niczego mi nie brakło. Obecnie wszystko bardzo się zmieniło; znam lęk. Za wiele tego pisania; może Ty mną gardzisz! Jeśli, przeciwnie, masz dla mnie nieco litości mimo ubogich sukien, które noszę, zauważysz, że co wieczora, kiedy północ dzwoni na wieży kapucynów na wzgórzu, znajduję się ukryty pod wielkim dębem, na wprost okna, w które patrzę ciągle, domyślając się, że to Twoje okno. Jeśli nie gardzisz mną, jak Twój ojciec, rzuć mi kwiat z tego bukietu, ale uważaj, aby się nie zahaczył o gzyms lub balkon Twego pałacu.

List ten odczytała Helena kilka razy; stopniowo oczy jej napełniły się łzami; patrzyła tkliwie na wspaniały bukiet, związany mocnym jedwabiem. Próbowwała wyrwać kwiat, ale nie mogła; zdjął ją lęk: dla młodej rzymianki wyrwać kwiat, uszkodzić bukiet będący darem miłości, znaczy narazić się, że ta miłość umrze. W obawie, aby się Julian nie zniecierplwił, pobiegła do okna; ale przyszło jej na myśl, że zbyt dobrze ją widać, ile że lampa napełniała pokój światłem. Nie wiedziała, na jaki gest się odważyć; miała uczucie, że każdy jest zbyt wymowny.

Zawstydzona, wróciła pędem do pokoju. Ale czas mijał; naraz przyszła jej myśl, która wprowadziła ją w nieopisane pomieszanie; Julian przypuści, że ona, jak ojciec, gardzi nim, bo jest ubogi! Ujrzała kawałek cennego marmuru, leżący na stole; obwiązała go chusteczką i rzuciła pod dąb na wprost okna. Następnie dała znak, aby się Julian oddalił; usłyszała, że spełnił jej wolę, gdyż odchodząc nie silił się już utaić szelestu kroków. Kiedy się znalazł na szczycie skał dzielących jezioro od ostatnich domostw w Albano, usłyszała piosenkę miłosną; przesłała mu, już śmieiej, znak pożegnania, po czym jęła na nowo odczytywać list.

Nazajutrz i dalszych dni znowu listy i podobne schadzki; że jednak w wiosce włoskiej nic nie ujdzie baczności, zwłaszcza że Helena była najbogatszą dziedziczką w okolicy, ostrzeżono pana Campireali, że co wieczór o północy widać światło w pokoju jego córki; że – rzecz o wiele osobliwsza – okno jest otwarte, a nawet Helena stoi w nim, tak jakby się zgoła nie lękała *zinzare* (rodzaj dokuczliwych komarów, które psują najładniejsze wieczory w Campagna Romana). Tu muszę na nowo prosić czytelników o pobłażliwość. Kiedy ktoś chce poznać zwyczaje obcego kraju, musi być przygotowany na pojęcia bardzo dziwaczne, bardzo różne od naszych. Pan Campireali narządził dwa muszkiety, swój i swego syna. Wieczorem, kiedy wybiło trzy kwadransy na dwunastą, uprzedził Fabia i obaj wśliznęli się najciszej na kamienny balkon na pierwszym piętrze, tuż pod oknem Heleny. Lita balustrada osłaniała ich do pasa, w razie gdyby ktoś z dołu zechciał wygarnąć z muszkietu w tę stronę. Północ wybiła; usłyszeli szelest pod drzewami; ale co ich napełniło zdumieniem, światło w oknach Heleny nie pojawiło się. Dziewczyna ta, dotąd prosta i żywa jak dziecko, zmieniła się zupełnie, odkąd kochała. Wiedziała, że najmniejsza nierozwaga naraża życie ukochanego; gdyby taki możny pan jak jej ojciec zabił biedaka takiego jak Julian Branciforte, wystarczyłoby mu potem zniknąć na trzy miesiące, które spędziłby w Neapolu; przez ten czas przyjaciele w Rzymie załagodziliby sprawę i wszystko skończyłoby się ofiarowaniem lampy za kilkaset talarów na ołtarz modnej w tej chwili Madonny. Rano przy śniadaniu Helena poznała z fizjonomii ojca, że jest mocno pogniwany; ze spojrzeń zaś, jakie na nią rzucał ukradkiem, odgadła, że to ona jest przyczyną gniewu. Natychmiast pobiegła przyprószyć nieco kurzem drzewce dwóch wspaniałych muszkietów wiszących nad łóżkiem ojcowskim. Posypała również lekką warstwą kurzu pugiwały i szpady. Cały dzień okazywała szaloną wesołość, biegała po domu po wszystkich piętrach, gotowa ostrzec Juliana, w razie gdyby miała szczęście go ujrzeć. Ale nie było nadziei. Biedny chłopiec tak był upokorzony połajanką bogatego pana, że w dzień nigdy nie zjawiał się w Albano; obowiązek jedynie sprowadzał go w niedzielę na mszę do parafialnego kościoła. Matka Heleny, która ją ubóstwiała i nie umiała jej niczego odmówić, wysłała z nią trzy razy tego dnia, ale na próżno; Helena nie spotkała Juliana. Była w rozpacz. Cóż się z nią działo, kiedy wieczorem, oglądając broń ojcowską, ujrzała, że muszkiety są nabite i że prawie wszystkie pugiwały i szpady poruszano! Od śmiertelnego niepokoju odrywało ją jedynie pilne baczenie, aby nie okazać, że się czegoś domyśla. Idąc do siebie o dziesiątej wieczór, zamknęła na klucz drzwi wychodzące na przedpokój matczynej; po czym przycupnęła przy oknie, leżąc na podłodze, tak

aby jej nikt nie mógł spostrzec z zewnątrz. Można sobie wyobrazić, z jakim lękiem słuchała bijących godzin; nie było już mowy o wyrzutach, jakie sobie czyniła często, iż tak szybko pokochała Juliana, co mogło obniżyć jej cenę w jego oczach. Ten dzień posunął sprawy młodego człowieka bardziej niż pół roku stałości i zaklęć. „Po co kłamać? – powiadała sobie Helena. – Czyż go nie kocham całą duszą?”

O wpół do jedenastej Helena ujrzała wyraźnie brata i ojca, jak się czają na kamiennym balkonie pod jej oknem. W dwie minuty po tym, jak północ wybiła w klasztorze kapucynów, usłyszała równie wyraźnie kroki kochanka, który zatrzymał się pod dębem. Spostrzegła z radością, że ojciec i brat jak gdyby nic nie słyszeli; trzeba było lęku zakochanego serca, aby usłyszeć szelest tak lekki. „Teraz – powiadała sobie – zabiją mnie, ale trzeba za wszelką cenę, aby nie dostali w ręce dzisiejszego listu; prześladowaliby do ostatniego tchu biednego Juliana.” Przeżegnała się i trzymając się jedną ręką żelaznej balustrady, wychyliła się, ile tylko mogła, na ulicę. Nie upłynęło ćwierć minuty, a bukiet, przymocowany jak zwykle do długiej trzciny, trącił ją w ramię. Chwyciła bukiet, ale odczepiając go żywo od żerdki, na której był umieszczony, trąciła tą żerdką o balkon. Natychmiast rozległy się dwa strzały, po czym zaległa cisza. Fabio, nie wiedząc w ciemności, czy to, co uderzyło o balkon, to nie był sznur, za pomocą którego Julian schodzi od siostry, dał ognia w stronę jej balkonu; nazajutrz znalazła ślad kuli spłaszczonej na żelazie. Pan Campireali strzelił w dół, gdyż Julian uczynił lekki hałas, przytrzymując padającą żerdkę. Słyszając huk nad głową Julian odgadł, co się święci, i ukrył się pod balkonem.

Fabio szybko nabił ponownie muszkiet i nie oglądając się na ojca pobiegł do ogrodu. Otworzył cicho furtkę wychodzącą na sąsiednią ulicę i skradając się na palcach zaczął przepatrywać nieliczne osoby przechadzające się pod balkonem. W tej chwili Julian, który tego wieczora był z silną eskortą, znajdował się o dwadzieścia kroków, przytulony do drzewa. Helena, wychylając się z okna i drżąc o kochanka, zaczęła głośną rozmowę z bratem, którego głos usłyszała na ulicy: spytała go, czy zabił złodzieja.

– Nie sądz, że mnie oszukasz swym piekielnym podstępem! – krzyknął z ulicy, którą przebiegał wzdłuż i wszerz – opłakuj zawczasu śmierć zuchwalca, który się ważył sięgnąć do twego okna.

Ledwie wyrzekł te słowa, Helena usłyszała, że matka puka do pokoju.

Otworzyła czym prędzej, powiadając, że nie pojmuje, jakim cudem drzwi są zamknięte.

– Bez komedii, drogi aniele – rzekła matka – ojciec jest wściekły i może cię zabić; chodź się ze mną położyć do łóżka, a jeżeli masz jaki list, daj mi go, ja schowam.

Helena rzekła:

– Oto bukiet, list ukryty jest w kwiatach.

Zaledwie obie kobiety znalazły się w łóżku, kiedy pan Campireali wszedł do pokoju żony. Przybywał z kaplicy, gdzie wszystko poprzewracał. Uderzyło Helenę to, że ojciec, błąd jak upiór, działa z wolna, jak człowiek, który powziął stanowcze postanowienie. „Zginęłam!” – rzekła sobie Helena.

– Cieszymy się, że mamy dzieci – rzekł ojciec przechodząc obok łóżka żony, aby się udać do pokoju córki, trzęsąc się z wściekłości, ale udając zupełny spokój. – Cieszymy się, że mamy dzieci, ale raczej powinniśmy płakać krwawymi łzami, kiedy dziecko okaże się dziewczyną. Wielki Boże! Czy podobna? Płochosć ich może pozbawić honoru człowieka, na którego od sześćdziesięciu lat nie padł nawet najłżejszy cień.

Mówiąc to przeszedł do pokoju córki.

– Zgubiona jestem – rzekła Helena do matki – listy są pod krucyfiksem koło okna.

Natychmiast matka wyskoczyła z łóżka i pobiegła za mężem; jęła wykrzykiwać największe androny, aby wywołać jego gniew, udało się to jej najzupełniej. Starzec wściekał się, łamał w pokoju córki wszystko, ale matka mogła zabrać niepostrzeżenie listy. W godzinę później, kiedy pan Campireali wrócił do swego pokoju, obok pokoju żony, i kiedy wszystko się uspokoiło, matka rzekła:

– Masz swoje listy, nie chcę ich czytać, widzisz, ile nas o mało nie kosztowały! Na twoim miejscu spaliłabym je. Dobranoc, uściskaj mnie.

Helena wróciła do siebie, zalewając się łzami, miała uczucie, że od tych słów matki nie kocha już Juliana. Następnie gotowała się spalić listy, ale nim je wydała zniszczeniu, nie mogła się wstrzymać, aby ich nie przeczytać. Odczytywała je tak długo, iż słońce było już wysoko na niebie, kiedy wreszcie namyśliła się iść za zbawienną radą.

Nazajutrz, była to niedziela, Helena udała się z matką do kościoła; szczęściem ojciec nie poszedł za nimi. Pierwszą osobą, którą spostrzegła w kościele, był Julian. Jednym spojrzeniem upewniła się, że nie jest ranny. Czuła się szczęśliwa bez granic; przygody nocne były o tysiąc mil od jej pamięci. Sporządziła pięć albo sześć bilecików skreślonych na strzępach starego papieru, zdeptanego i zbrudzonego mokrą ziemią, jakie można znaleźć na posadzce w kościele, wszystkie zawierały to samo ostrzeżenie:

Wszystko odkryte, wyjąwszy nazwiska. Nie pojawiaj się już na ulicy; będę tu przychodziła często.

Helena upuściła świstek spoglądając znacząco w stronę Juliana, który podniósł go i wyszedł. Wracając do domu w godzinę później znalazła na schodach pałacowych strzępek papieru, uderzył ją pełnym podobieństwem z tymi, którymi posłużyła się rano. Podniosła go tak zręcznie, że nawet matka nic nie zauważyła, i przeczytała:

Za trzy dni ktoś wróci z Rzymu, dokąd musi się udać. Będzie śpiewał w biały dzień w dni targowe, wśród zgielku, około dziesiątej rano.

Ten wyjazd zdziwił Helene. „Czyżby się lękał muszkietu Fabia?” – powiadała sobie ze smutkiem. Miłość wybaczy wszystko, wyjąwszy dobrowolne oddalenie; bo też to jest największa męczarnia. Miast płynąć w słodkim marzeniu, wypełnione rozpamiętywaniem uroków kochanka, życie staje się wówczas pastwą okrutnego wątpienia. „Ale czy to możliwe, aby on mnie już nie kochał?” – powiadała sobie Helena przez trzy długie dni, które trwała nieobecność Juliana. Naraz miejsce zgryzoty zajęła szalona radość: trzeciego dnia ujrzała go w samo południe przechadzającego się pod pałacem jej ojca. Miał na sobie nowe suknie, prawie wspaniałe. Nigdy szlachetna jego postawa oraz dziarska fizjonomia nie jaśniały żywszym blaskiem; nigdy też nie mówiono tyle co tego dnia o ubóstwie Juliana. Mężczyźni, a zwłaszcza młodzi ludzie, mówili o nim z przekąsem; kobiety, a zwłaszcza młode dziewczęta, zachwycaly się jego wspaniałą postacią.

Cały dzień Julian przechadzał się po mieście; zdawałoby się, że chce sobie wynagrodzić owe miesiące zamknięcia, na które skazało go ubóstwo. Jak przystało człowiekowi zakochanemu, Julian był dobrze uzbrojony pod swoim nowym ubraniem. Oprócz sztyletu i puginału miał swoje *giacco* (rodzaj długiej kamizelki ze stalowej siatki; bardzo jest niewygodna, ale leczy włoskie serca ze smutnej choroby, która dręczyła je w owych czasach; mam na myśli obawę, aby nie paść na rogu ulicy z ręki wroga). Tego dnia Julian miał nadzieję ujrzeć Helene; mierziło go przy tym trochę zostać samemu w pustym domu, oto dłączego Ranucey, dawny żołnierz jego ojca, odbywszy z nim dziesięć kampanii w oddziałach rozmaitych *condottieri*⁵, na końcu w oddziale Marka Sciarra, nie opuścił swego kapitana, kiedy go rany zmusiły do porzucenia służby. Kapitan Branciforte miał przyczyny, aby się trzymać z dala od Rzymu: narażał się tam na spotkanie synów ludzi, których zabił; nawet w Albano nie miał ochoty wydać się na łaskę władz. Zamiast kupić lub nająć domek w mieście, wolał raczej zbudować go sobie w sposób taki, aby z daleka widzieć każdego nadchodzącego. Znalazł w ruinach Alby cudowne miejsce; nie będąc spostrzeżonym przez niewczesnych gości, można było schronić się w las, gdzie władał dawny jego przyjaciel i wódz, Fabrycy Colonna. O przyszłość syna kapitan

⁵ *condottiere* – kondotier, we Włoszech w okresie renesansu dowódca oddziału najemnego wojska na służbie miasta albo księcia.
[przypis redakcyjny]

Branciforte nie troszczył się zgoła. Kiedy się wycofał ze służby, mając dopiero pięćdziesiąt lat, ale podziurawiony jak sito, obliczył, że może jeszcze żyć jakieś dziesięć lat; jakoż po zbudowaniu domu wydawał co roku dziesiątą część tego, co zebrał z grabieży, w których miał zaszczyt brać udział.

Kupił ową winnicę, która dawała synowi trzydzieści talarów rocznie; była to odpowiedź na przycinek pewnego obywatela z Albano, który kiedy kapitan coś rozprawiał o interesach i o chwale tego miasta, zauważył, że śmieszne jest, aby taki chudeusz dawał rady osiadłym albańczykom! Kapitan kupił winnicę i zapowiedział, że kupi więcej; po czym, spotkawszy owego kpiarza w ustronnym miejscu, zastrzelił go z pistoletu.

Po ośmiu latach takiego życia kapitan umarł; adiutant jego, Ranucy, ubóstwiał Juliana; mimo to, znudzony beczynnością, wrócił do służby u księcia Colony. Często zachodził odwiedzać *syna swego, Juliana* (takie mu dawał miano); w wigilię niebezpiecznego szturm, któremu książę miał stawić czoło, w fortecy Petrella, zabrał Juliana, aby walczył przy jego boku. Widząc jego odwagę rzekł:

– Tyś chyba szalony, i co więcej, bardzo naiwny, aby gnić pod Albano jak najlichszy z mieszczuchów, gdy przy tym, coś nam tu pokazał, i przy nazwisku swego ojca mógłbyś być u nas świetnym *avventuriere*⁶ i co więcej, zrobić majątek.

Słowa te dręczyły Juliana. Umiał on nieco po łacinie od pewnego księdza; że jednak ojciec Juliana drwił sobie, poza łaciną, ze wszystkiego, co ksiądz mówił, nie miał ani odrobiny wykształcenia. W zamian za to, wzgardzony dla swego ubóstwa, żyjąc samotnie w ustronnym domku, wytworzył sobie pewną filozofię, która śmiałością swoją zdumiałaby uczonych. Zanim na przykład pokochał Helenę, sam nie wiedząc czemu, ubóstwiał wojnę, ale miał wstręt do grabieży; w oczach zaś jego ojca i Ranucego grabież była niby wesoła krotochwila, którą się daje w teatrze po szlachetnej tragedii. Od czasu jak kochał Helenę, poglądy te stanowiły udrękę Juliana. Ta dusza, wprzód tak niefrasobliwa, nie śmiała się nikogo radzić w swych wątpliwościach, przepelniona była miłością i smutkiem. Cóż by powiedział pan Campireali, gdyby wiedział, że on jest *avventuriere*? Dopiero miałby prawo obsypać go słusznymi wyrzutami! Julian zawsze liczył na żołnierkę jako na pewną ucieczkę, w porze gdy już spienięży łańcuchy i inne klejnoty znalezione w żelaznej szkatule ojcowskiej. Jeżeli Julian nie miał żadnego skrupułu, aby wykraść, mimo swego ubóstwa, córkę bogatego pana Campireali, to dlatego że w owej epoce ojciec rozrządzał w testamencie swoim mieniem, jak mu się podobało, i że pan Campireali mógł doskonale zostawić córce tysiąc talarów całego majątku. Inny problem zaprzętał głęboko wyobraźnię Juliana: *primo*, w jakim mieście osadzi młodą żonę, skoro ją zaślubi i wykradnie ojcu? *Secundo*, skąd weźmie pieniędzy na jej utrzymanie?

Kiedy pan Campireali rzucił mu w twarz krwawe słowa, które go tak poruszyły, Julian był przez dwa dni pastwą wściekłości i bólu; nie mógł się zdecydować ani na to, aby zabić zuchwałego starca, ani aby go zostawić przy życiu. Całe noce płakał, wreszcie postanowił się poradzić Ranucego, jedynego przyjaciela, jakiego miał w świecie; ale czy go ten przyjaciel zrozumie? Najpierw szukał Ranucego po całym lesie Faggiola; trzeba mu było udać się na gościniec neapolitański, poza Velletri, gdzie Ranucy dowodził zasadzką: oczekiwał tam w licznej kompanii Ruiza d'Avalos, hiszpańskiego generała, który się wybierał do Rzymu lądem, niepomny, że niegdyś w licznej kompanii wyraził się wzgardliwie o awanturkach księcia Colony. Kapelan jego przypomniał mu bardzo w porę tę drobną okoliczność, wskutek czego Ruiz d'Avalos uzbroił barkę i puścił się morzem.

Wysłuchawszy opowieści Juliana, Ranucy rzekł:

– Opisz mi dokładnie tego jegomościa Campireali, iżby jego grubiaństwo nie kosztowało życia jakiego poczciwego mieszkańca Albano. Z chwilą gdy sprawa, która nas tu trzyma, zakończy się tak czy owak, udasz się do Rzymu, gdzie pamiętaj pokazywać się po gospodach i innych publicznych miejscach, ile tylko zdołasz; nie trzeba, aby cię ktoś mógł podejrzewać, zwłaszcza iż wiedzą, że kochasz jego córkę.

⁶ *avventuriere* – tu: przygodny żołnierz. [przypis redakcyjny]

Julian z trudnością zdołał uspokoić gniew ojcowskiego druha. W końcu sam musiał wybuchnąć:
– Czy ty myślisz, że mnie chodzi o twoją szpadę? – rzekł. – Zdaje mi się, że i ja mam szpadę!
Chcę od ciebie mądrej rady.

Ranucy wciąż wracał do swego:

– Jesteś młody, nigdyś nie był ranny; zniewaga była publiczna; otóż mężczyzną zhańbionym gardzą nawet kobiety.

Julian odpowiedział, że jeszcze się poradzi w tej mierze swego serca. Mimo nalegań Ranucego, który koniecznie chciał go wciągnąć do napaści na hiszpańskiego generała, „przy czym – powiadał – można nabyć chwałę, nie licząc dukatów”, Julian wrócił sam do swego domku. Tam to w wilię dnia, w którym pan Campireali wygarnął doń z muszkietu, odwiedzili Juliana Ranucy i jego kapral, obaj z powrotem z Velletri. Ranucy użył przemocy, aby zajrzeć do szkatułki, gdzie jego zwierzchnik, kapitan Branciforte, chował niegdyś złote łańcuszki i inne kosztowności, o ile nie uważał za stosowne wydać ich zaraz po wyprawie. Znalazł tam dwa talary.

– Radzę ci zostać mnichem – rzekł do Juliana – masz po temu wszystkie cnoty: miłość ubóstwa, a oto dowód; pokorę, bo pozwalasz się lżyć w biały dzień bogaczowi z Albano; brak ci jedynie obłudy i łakomstwa.

Ranucy włożył przemocą do szkatułki pięćdziesiąt dukatów.

– Daję ci moje słowo – rzekł – że jeśli do miesiąca pan Campireali nie będzie pogrzebany ze wszystkimi honorami należnymi jego urodzeniu i dostatkom, tu obecny kapral przybędzie z trzydziestoma ludźmi, aby zburzyć twój domek i spalić twoje mizerne rzeczy. Nie ścierpię, aby pod pozorem miłości syn kapitana Branciforte grał w świecie rolę durnia.

Owej nocy, kiedy pan Campireali i jego syn strzelili z muszkietów, Ranucy i jego kapral byli na czatach pod balkonem. Julian ledwie zdołał ich powstrzymać, aby nie zabili lub bodaj nie porwali Fabia, wówczas gdy – jak opowiedzieliśmy wyżej – wypadł nieroztropnie na ulicę przez ogród. Argument, który uspokoił Ranucego, był następujący: nie godzi się zabijać młodego człowieka, który może jeszcze na coś wyrósć⁷ i stać się użyteczny, gdy jest starszy grzesznik, winniejszy od niego i dobry już tylko na to, aby go pochować.

Nazajutrz po tej przygodzie Ranucy zaszył się w lasach, a Julian udał się do Rzymu. Uciechę, której doznał, kupując piękne ubranie za dukaty Ranucego, mąciła okrutnie ta myśl, bardzo niezwykła w owej epoce i zwiastująca wysokie losy, które go czekały; powiadał sobie: „Helena musi się dowiedzieć, kim jestem.” Każdy inny mężczyzna w jego wieku i za jego czasów myślałby jedynie o tym, aby nasycić swoją miłość i wykraść Helenę, nie troszcząc się w żaden sposób o to, co się z nią stanie w pół roku później, ani też o mniemanie, jakie o nim zachowa.

Wróciwszy do Albano tego samego dnia, w którym obnosił wszędzie piękne ubranie przywiezione z Rzymu, Julian dowiedział się przez starego Scottiego, swego przyjaciela, że Fabio wyjechał konno do majątku, który ojciec posiadał o trzy mile stąd, nad morzem. Później zobaczył, iż pan Campireali idzie w towarzystwie dwóch księży ku wspaniałej alei dębowej; aleja ta okala brzeg krateru, na którego dnie leży jezioro Albano. W dziesięć minut później stara kobieta weszła śmiało do pałacu Campireali zachwalając owoce na sprzedaż; pierwszą osobą, którą spotkała, była Marieta, zaufana Heleny. Helena zarumieniła się po białka, otrzymując piękny bukiet. List w bukiecie był niezwykle długi; Julian opowiedział wszystko, czego doświadczył od owej burzliwej nocy; ale pod wpływem szczególnego wstydu nie śmiał wyznać tego, z czego każdy inny młodzieniec za jego czasów byłby tak dumny, a mianowicie, że jest synem junaka słynnego z przygód i że on sam odznaczył się już w niejednej potrzebie. Wciąż zdawało mu się, że słyszy, co by na to rzekł stary Campireali. Trzeba wiedzieć, że w szesnastym wieku młode dziewczyny, bliższe rozsądku republikańskiego, o wiele bardziej ceniły człowieka za to, czego dokonał sam, niż za bogactwa jego rodziny lub sławne czyny przodków. Ale pojęcia te miały zwłaszcza dziewczęta z ludu, panny z zamożnych lub szlacheckich

⁷ wyrósć (daw.) – wyrosnąć. [przypis edytorski]

domów lękały się rozbójników i – rzecz zupełnie naturalna – miały w estymie szlachectwo i dostatek. Julian zakończył tymi słowami:

Nie wiem, czy przyzwoite suknie, które przywiozłem z Rzymu, pozwolą Ci zapomnieć zniewagi, którą osoba posiadająca Twój szacunek zbezczeszczyła mnie niegdyś z powodu mego mizernego wyglądu; mogłem się zemścić, honor mi to nakazywał; nie uczyniłem tego przez wzgląd na łzy, jakie moja zemsta wycisnęłaby ubóstwianym oczom. To może Ci dowiedzie – jeśli na me nieszczęście wątpiłabyś jeszcze – że można być biednym, a mieć szlachetne uczucia. Poza tym mam Ci wyznać straszliwą tajemnicę; z największą łatwością przyszedłoby mi ją zwierzyć wszelkiej innej kobiecie, ale – nie wiem czemu – drzę, kiedy ją mam wyznać Tobie. Może ona w jednej chwili zniweczy Twoją miłość; nie wystarczyłoby mi żadne zakłęcie. Chcę czytać w Twoich oczach wrażenie, jakie sprawi to wyznanie. W najbliższych dniach, skoro noc zapadnie, spotkam się z Tobą w ogrodzie za pałacem. Tego dnia Fabia i ojca nie będzie w domu; kiedy zyskam pewność, iż mimo ich wzgardę dla lichy odzianego młodzieńca nie zdołają nam przerwać trzech kwadransów lub godziny rozmowy, zjawi się pod oknami człowiek pokazujący dzieciakom ulicznym oswojonego lisa. Następnie, kiedy wydzwonią *Anioł Panski*, usłyszysz w oddali strzał z muszketu; wówczas zbliży się do ogrodowego muru; jeśli nie będziesz sama, zaśpiewaj. O ile nic nie przerwie ciszy, niewolnik Twój zjawi się drżący u Twoich stóp i opowie Ci rzeczy, które może Cię przejmą zgrozą. Oczekując tego rozstrzygającego i straszliwego dla mnie dnia, nie ośmielę się podać Ci już bukietu o północy; ale koło drugiej w nocy przejdę śpiwając, a Ty stojąc na balkonie upuścisz może kwiat uszczknięty Twą ręką. Będą to może ostatnie znaki przychylności, jakich użyjesz nieszczęśliwemu Julianowi.

W trzy dni później ojciec i brat Heleny udali się konno do majątku nad morzem; mieli stamtąd wyruszyć tuż przed zachodem słońca, aby być z powrotem koło drugiej. Ale gdy chcieli wyjeżdżać, nie tylko ich dwa konie, ale wszystkie konie na folwarku znikły. Zdziwieni tą zuchwałą kradzieżą szukali koni, które znaleźli dopiero nazajutrz w lesie nad morzem. Panowie Campireali musieli wracać do Albano na chłopskim wozie zaprzężonym w woły.

Kiedy tego wieczora Julian znalazł się u kolan Heleny, było prawie zupełnie ciemno. Biedna dziewczyna była szczęśliwa z tej ciemności; pierwszy raz była w towarzystwie tego człowieka, którego kochała tkliwie, który to wiedział, ale z którym nigdy nie wymieniła ani słowa.

Jedno spostrzeżenie dodało jej nieco odwagi: Julian był bardziej blady i drżący od niej. Widziała go u swoich kolan.

– Doprawdy, nie jestem w stanie mówić – rzekł do niej.

Mieli kilka chwil bardzo szczęśliwych: patrzyli na siebie, ale nie mogli wymówić słowa, nieruchomi jak pełna wyrazu grupa z marmuru. Julian klęczał trzymając Helenę za rękę; ona z pochyloną głową przyglądała mu się ze skupieniem.

Julian wiedział, że w myśl rad przyjaciół, młodych rozpustników rzymskich, powinien był pokusić się o coś; ale wzdrygnął się przed tą myślą. Ze stanu ekstazy, najwyższego szczęścia, jakie może dać miłość, obudziła go ta myśl: czas uchodzi szybko, ojciec i brat zbliżają się do pałacu. Uczuł, iż przy swoich skrupułach nie zazna trwałego szczęścia, póki nie uczyni owego straszliwego wyznania, które jego rzymskim przyjaciom zdawałoby się ciężką głupotą.

– Wspomniałem ci o wyznaniu, którego może nie powinien bym czynić – rzekł wreszcie. Zbladł mocno; dodał z trudem, jak gdyby brakło mu oddechu: – Może sprawię, iż pierzchną te uczucia, których nadzieja jest moim życiem. Sądzisz, że jestem biedny; to nie wszystko: *jestem bandytą i synem bandyty*.

Na te słowa Helena, córka bogacza i żywiąca wszystkie obawy swej kasty, uczuła, że mdleje; bała się, że upadnie. „Jakie by to było straszne dla biednego Juliana! – pomyślała. – Przypuści, że nim gardzę. Był u jej kolan. Aby nie upaść, oparła się o niego; niebawem padła bezprzytomna w jego ramiona. Jak czytelnik widzi, w szesnastym wieku lubiano w historiach miłosnych dokładność; a to

dlatego że nie sądzono ich rozumem, ale odczuwano wyobraźnią, a uczucia czytelnika zlewały się z uczuciami bohaterów. Dwa rękopisy, z których czerpię, a zwłaszcza ten, który zawiera pewno zwroty właściwe dialektowi florenckiemu, podają najszczegółowiej historię wszystkich schadzek, które nastąpiły. Niebezpieczeństwo tłumilo w młodej dziewczynie wyrzuty. Często niebezpieczeństwa były ogromne, ale jedynie rozpałały one te dwa serca, dla których wszystkie wzruszenia płynące z ich miłości były szczęściem. Niejeden raz Fabio i jego ojciec omal ich nie zaskoczyli. Byli wściekli, sądząc, że z nich zdrzwiono; głos publiczny powiadał im, że Julian jest kochankiem Heleny, a mimo to nic nie mogli dostrzec. Fabio, młodzieniec porywczy i dumny, namawiał ojca, aby kazać zabić Juliana.

– Póki on będzie na świecie – powiadał – życie siostry znajduje się w strasznym niebezpieczeństwie. Kto nam zaręczy, że w pierwszym momencie honor nie zmusi nas do ubroczenia rąk w krwi tej zatwardziałej? Doszła do tego zuchwalstwa, że nie zapiera się już swej miłości; widziałeś, ojczu, że na twoje wyrzuty odpowiada jedynie tępym milczeniem; wierzaj, to milczenie jest wyrokiem śmierci na Juliana Branciforte.

– Pomyśl, kim był jego ojciec – odpowiadał pan Campireali. – Oczywiście, nic łatwiejszego dla nas niż udać się na pół roku do Rzymu, a przez ten czas Branciforte zniknie. Ale kto nam zaręczy, czy jego ojciec, który mimo swych zbrodni był człkiem dzielnym i szczodrym, szczodrym tak, że z bogacił wielu swych żołnierzy, a sam został biedny, kto nam zaręczy, że jego ojciec nie ma jeszcze przyjaciół, czy to w kompanii księcia Monte Mariano, czy w kompanii księcia Colonna, który często obozuje w lasach Faggiola, o pół mili od nas. W takim razie wymordowano by nas bez pardonu, mnie, ciebie, może i twoją nieszczęśliwą matkę.

Te częste rozmowy ojca z synem niezupełnie były obce Wiktorii Carafa, matce Heleny, i doprowadziły ją do rozpacz. Wynikiem dyskusji między Fabiem a ojcem było, iż niegodne jest ich honoru cierpieć spokojnie pogłoski obiegające w Albano. Skoro nie było bezpieczne sprzątnąć młodego Branciforte, który z każdym dniem stawał się zuchwalszy i co więcej, ubrany obecnie we wspaniałe szaty, posuwał bezczelność do tego stopnia, iż publicznie zagadywał Fabia lub nawet samego pana Campireali, trzeba było obrać jedną z tych decyzji, a może obie razem: wrócić na stałe do Rzymu, oddać Helenę do klasztoru wizytek, iżby tam została, aż się znajdzie dla niej odpowiednia partia.

Nigdy Helena nie wyznała swej miłości matce; matka i córka kochały się tkliwie i żyły z sobą najserdeczniej, a mimo to nie padło ani jedno słowo w przedmiocie, który prawie jednako je zaprzętał. Ten jedyny niemal przedmiot ich myśli pierwszy raz wyraził się w słowach, gdy matka wspomniała córce, że jest zamiar przeniesienia się do Rzymu, a może i odesłania jej na kilka lat do klasztoru w Castro.

Zwierzanie to było ze strony Wiktorii Carafa wielkim nierozsądkiem; usprawiedliwić je może jedynie bezmierna czułość dla córki. Helena, oszalała miłością, chciała dowieść kochankowi, że się nie wstydzi jego ubóstwa i że zaufanie jej do jego honoru jest bez granic. „Kto by uwierzył? – wykrzykuje autor florenckiego rękopisu. – Po tylu schadzkach tak zuchwałych i tak igrających z okrutną śmiercią, schadzkach, które odbywały się w ogrodzie, a nawet parę razy we własnym pokoju, Helena była czysta!” Silna swą cnotą, ofiarowała kochankowi, że się z nim wymknie koło północy przez ogród i że spędzą noc w domku w ruinach Alby, o ćwierć mili od pałacu. Przebrali się za mnichów zakonu św. Franciszka. Helena była słusznego wzrostu; w przebraniu tym wyglądała na młodego, osiemnasto- lub dwudziestoletniego braciszka. Rzecz nie do wiary niemal i znamionująca wyraźnie palec boży, to iż na wąskiej dróżce wyrąbanej w skale i biegnącej pod samym murem kapucynów Julian i jego kochanka, przebrani za mnichów, spotkali pana Campireali i syna jego, Fabia, którzy w orszaku czterech dobrze uzbrojonych sług, mając przed sobą pazia z zapalonymi pochodniami, wracali z Castel Gandolfo, miasteczka położonego w pobliżu nad jeziorem. Aby przepuścić kochanków, obaj Campireali i ich ludzie ustawili się po obu stronach tej drogi szerokiej

może na osiem stóp. Jakimż byłoby szczęściem dla Heleny, gdyby ją poznano! Zginęłaby od kuli z ręki ojca lub brata, męka jej trwałaby tylko chwilę; ale niebo zrzędziło inaczej (*superis aliter visum*).

Dodają jeszcze jeden szczegół tego osobliwego spotkania, który pani Campireali, dożywszy późnej starości, niemal stuletnia, opowiadała jeszcze niekiedy w Rzymie w przytomności poważnych osób, które, również sędziwe, powtórzyły mi go, kiedy moja nienasycona ciekawość wypytywała je w tym przedmiocie, a także w wielu innych. Fabio Campireali, młodzieniec hardy swą odwagą i niosący się bardzo górną, zauważywszy, że młody mnich nie pozdrowił ani ojca, ani jego, wykrzyknął:

– A to mi ladaco mniszek hardy! Bóg ich wie, co oni tam obaj idą robić za klasztorem o tak późnej godzinie! Miałbym diabłą ochotę uchylić im kapturów, zobaczylibyśmy ich miny!

Na te słowa Julian ścisnął puginał pod habitem i przeszedł między Fabia i Helenę. Znalazł się od Fabia o niecałą stopę; ale niebo zrzędziło inaczej i uśmierzyło cudem wściekłość dwóch młodzieńców, którzy niebawem mieli spotkać się z tak bliska.

W procesie, który później wytoczono Helenie Campireali, chciano przedstawić tę nocną wyprawę jako dowód zepsucia; był to obłęd młodego serca płonącego szaloną miłością, ale to serce było czyste.

III

Trzeba wiedzieć, że Orsiniowie, wiekuiści współzawodnicy Colonnów i wszechpotężni wówczas w okolicy Rzymu, kazali świeżo trybunałom skazać na śmierć bogatego rolnika, Baltazara Bandini, rodem z Petrella. Zbyt długo by wymieniać tu występki, o które obwiniano Bandiniego: większość z nich byłaby zbrodnią dziś, ale nie można ich oceniać równie surowo w roku 1559. Bandiniego uwięziono w zamku Orsinich, położonym w górach od strony Valmontone, o sześć mil od Albano. *Bargello* rzymski w orszaku stu pięćdziesięciu zbirów⁸ zjawił się w nocy na gościńcu; przybywał po Bandiniego, aby go zawieść do Rzymu do więzienia Tordinona po wyrok skazujący go na śmierć. Ale jak wspomnieliśmy, ów był rodem z Petrella, twierdzy Colonnów; jakoż żona Bandiniego zagadnęła publicznie Fabrycego Colonnę, który się znajdował w Petrella:

– Czy pozwolisz, panie, umrzeć swemu wiernemu słudze?

Colonna odpowiedział:

– Niech mnie Bóg broni, abym miał kiedykolwiek uchybić trybunałom papieża, mego pana!

Natychmiast żołnierze jego otrzymali rozkazy, a wszystkim jego stronnikom udzielono wiadomości, aby byli w pogotowiu. Schadzkę naznaczono w okolicy Valmontone, miasteczka na szczycie skały niezbyt wysokiej, ale mającej za szaniec gładką prawie i prostopadłą przepaść wysoką na sześćdziesiąt do osiemdziesięciu stóp. Do tego miasta, należącego do papieża, udało się stronnikom Orsinich oraz zbirom doprowadzić Bandiniego. Wśród najgorliwszych popleczników władzy znajdowali się pan Campireali i Fabio, spokrewnieni zresztą trochę z Orsinimi. Od dawien dawna, przeciwnie, Julian Branciforte i jego ojciec byli oddani Colonnom.

W okolicznościach, w których nie wypadało Colonnom działać otwarcie, uciekali się oni do bardzo prostego sposobu. Większość bogatych wieśniaków rzymskich należała – wówczas jak dziś – do jakiejś kompanii pokutniczej. Pokutnicy nie pojawiają się publicznie inaczej niż z głową okrytą kawałkiem płótna, które zasłania im twarz i ma tylko dwie dziury na oczach. Kiedy Colonnowie nie chcą przyznać się do jakiegoś przedsięwzięcia, zalecają swoim stronnikom, aby udając się na schadzkę wdziali strój pokutników.

Po długich przygotowaniach przewiezienie Bandiniego, którym od dwóch tygodni zajmowała się cała okolica, naznaczono na niedzielę. Tego dnia o drugiej z rana gubernator Valmontone kazał bić w dzwony na trwogę we wszystkich wioskach w lesie Faggiola. Chłopi wyszli dość licznie z każdej wioski. (Obyczaj średniowiecznych republik, w których bito się, aby uzyskać to, czego się pragnie, zachowały sporo dzielności w sercu chłopów; za naszych czasów nikt by się nie ruszył.)

Tego dnia można było zauważyć rzecz dość osobliwą: w miarę jak gromadki uzbrojonych chłopów zapuszczały się w las, malały o połowę – stronnicy Colonnów przemykali się ku wskazanemu przez Fabrycego miejscu. Naczelnicy zdawali się przeświadczeni, że tego dnia nie będzie starcia, otrzymali rano rozkaz szerzenia tej pogłoski. Fabrycy przebiegał las z wyborem swoich stronników, których wsadził na półdzikie młode konie ze swojej stadniny. Robił jak gdyby przegląd oddziałów chłopskich; ale nie mówił do nich nic, ile że każde słowo mogło być niebezpieczne. Fabrycy był to wysoki chudy człowiek, niewiarogodnie zwinny i silny; mimo że miał ledwie czterdzieści pięć lat, włosy i wąsy miał mlecznobiałe, z czego był bardzo nierad: po tym znaku można go było poznać tam, gdzie wołał ujść niepostrzeżony. Na jego widok chłopci wołali: „Niech żyje Colonna!”, i wkładali płócienne kaptury. Sam książę miał swój kaptur na piersiach, aby go włożyć z chwilą, gdy spostrzeże nieprzyjaciół.

Nie dali na siebie czekać. Ledwie słońce wstawało, kiedy jakiś tysiąc ludzi stronnictw Orsinich, ciągnących od Valmontone, weszło w las, przechodząc o trzysta kroków od stronników Colonny,

⁸ *Bargello* rzymski w orszaku stu pięćdziesięciu zbirów – zbirami nazywano we Włoszech stróżów porządku publicznego, ich dowódcą był *bargello*. [przypis redakcyjny]

którym ten kazał położyć się na ziemi. W kilka minut po przejściu ostatnich z orsyńczyków tworzących tę awangardę książę poderwał swoich ludzi: postanowił napaść eskortę Bandiniego w kwadrans po tym, jak się zapani w las. W tej okolicy las usiany jest skałami wysokimi na piętnaście lub dwadzieścia stóp; są to fale lawy, na których kasztany rosną wspaniale, tak że prawie zupełnie zaciemniają światło. Ponieważ fale te, mniej lub więcej nadgryzione czasem, powodują znaczne nierówności gruntu, przeto aby oszczędzić gościńcowi mnóstwa niepotrzebnych wzniesień i spadków, wyłożono drogę w lawie, tak iż często znajduje się ona o kilka stóp poniżej poziomu lasu.

W pobliżu miejsca obranego przez Fabrycego na atak znajdowała się polana zarośnięta murawą; z jednego brzegu polanę tę przecinał gościńiec. Następnie droga wchodziła w las, który, pełen głogów i krzewów, był w tym miejscu zupełnie nie do przebycia. Fabrycy pomieścił swoich po obu stronach, o sto kroków od gościńca. Na znak księcia każdy wieśniak nałożył kaptur i ustawił się z muszkietem za kasztanem; żołnierze księcia zajęli pozycje najbliżej drogi. Chłopi otrzymali wyraźny rozkaz nie strzelać aż po żołnierzach, ci zaś mieli dać ognia, gdy nieprzyjaciel będzie o dwadzieścia kroków. Fabrycy kazał ściąć naprędce ze dwadzieścia drzew, które rzucone wraz z gałęziami na drogę dość ciasną w tym miejscu i zarytą na trzy stopy w ziemię, zatarasowały ją zupełnie. Kapitan Ranucy z pięćmaset ludźmi tworzył przednią straż; miał rozkaz atakować dopiero, kiedy usłyszy pierwsze strzały od strony drzew zamykających drogę. Kiedy Fabrycy Colonna ujrzał, iż żołnierze jego i stronnicy siedzą każdy za swoim drzewem, dobrze rozmieszczeni i pełni ducha, wypuścił się galopem ze swą konnicą, w której wyróżniał się Julian Branciforte. Książę wziął się na prawo dróżką wiodącą na skraj polany.

Zaledwie książę się oddalił, ujrzano z daleka, na drodze z Valmontone, oddział konnych; byli to zbiry i *bargello* eskortujący Bandiniego oraz cała jazda Orsinich. Wśród nich znajdował się Baltazar Bandini w otoczeniu czterech katów przybranych czerwono; mieli rozkaz wykonać wyrok najwyższych sędziów i utrupić Bandiniego, w razie gdyby widzieli, iż stronnicy Colonnów chcą go oswobodzić.

Skoro kawaleria Colonna przybyła na najdalszy od drogi skraj polany, rozległy się pierwsze strzały z zasadzki. Natychmiast książę wypuścił swoją jazdę galopem, kierując atak na czterech czerwonych katów, którzy otaczali Bandiniego.

Nie będziemy szczegółowo opowiadali tej utarczki, która nie trwała ani trzech kwadransów; stronnicy Orsinich, zaskoczeni, rozbiegli się na wszystkie strony; ale kapitan Ranucy zginął, co miało opłakany wpływ na losy Juliana. Zaledwie rozdał parę ciosów szabli, wciąż zbliżając się do ludzi czerwono odzianych, kiedy nagle znalazł się na wprost Fabia Campireali.

Pędząc na ognistym rumaku i odziany w złociste giacco (koszulkę drucianą), Fabio wołał:

– Kto są te zamaskowane łotry? Poprzecinajmy ich maski pałaszem; ot, zaraz wam pokażę!

Prawie w tej samej chwili Julian Branciforte otrzymał z jego ręki poprzeczne cięcie w czoło. Cios był zadany tak zręcznie, że płótno, które mu kryło twarz, spadło; równocześnie uczuł, że krew z rany, lekkiej zresztą, zalewa mu oczy. Julian cofnął się z koniem, aby odetchnąć i wytrzeć sobie twarz. Za wszelką cenę chciał uniknąć starcia z bratem Heleny; już jego koń był o kilka kroków od Fabia, kiedy Julian otrzymał w piersi wściekły cios szablą. Cios nie zranił go, dzięki giacco, ale odjął mu oddech na chwilę. Prawie równocześnie usłyszał krzyk:

– *Ti conosco, porco!* Znam cię, kanalio! Więc ty w ten sposób zarabiasz na suknie w miejsce dawnych łachmanów!

Julian, dotknięty do żywego, zapomniał o pierwotnym postanowieniu i skoczył na Fabia:

– *Ed in mal punto tu venisti!*⁹ – wykrzyknął.

Po kilku gwałtownych ciosach suknie, które okrywały ich koszulki druciane, opadły w strzępach. Koszulka Fabia była złota i wspaniała, koszulka Juliana bardzo pospolita.

– W jakim ścieku znalazłeś swoje *giacco*? – krzyknął Fabio.

⁹ *Ed in mal punto tu venisti!* – W złą chwilę się zjawiłeś! [przypis tłumacza]

W tej samej chwili Julian znalazł sposobność, której szukał od pół minuty: wspaniała koszulka Fabia nie dość była obcisła na szyi, jakoż Julian zadał mu w odsłoniętą nieco szyję śmiertelny cios. Rapier Juliana wszedł na pół stopy w gardło Fabia, z którego trysnął strumień krwi.

– Masz, zuchwalcze! – wykrzyknął Julian.

I pognął w stronę czerwonych katów, z których dwóch siedziało jeszcze na koniach. Kiedy się zbliżył do nich, trzeci padł; ale w chwili gdy Julian dopadł czwartego, ten widząc, że go otacza dziesięciu z górą konnych, wypalił z pistoletu do biednego Baltazara Bandini, który upadł.

– Mości panowie, nie mamy tu co robić dłużej! – wykrzyknął Branciforte. – Weźmy na szable zbirów, którzy uciekają!

Wszyscy pognali za nim.

Kiedy w pół godziny później Julian stanął przed Fabrycym Colonną, pan ów ozwał się doń po raz pierwszy w życiu. Szalał z gniewu; Julian myślał, że go zastanie pełnym radości z powodu zwycięstwa, które zawdzięczał jedynie swemu znakomitemu planowi; Orsiniowie bowiem mieli blisko trzy tysiące ludzi, a Fabrycy nie zgromadził w tej potrzebie ani półtora tysiąca.

– Straciliśmy dzielnego druha Ranucego! – wykrzyknął książę do Juliana. – Sam dotykałem ciała, już zimny. Biedny Baltazar Bandini jest śmiertelnie ranny. W rzeczy samej nie udało się nam. Ale cień dzielnego kapitana stanie przed obliczem Plutona w dzielnym towarzystwie. Dałem rozkaz, aby przystroić drzewa wszystkimi łajdakami, którzy nam wpadli w ręce. Mości panowie, słyszycie? – wykrzyknął, podnosząc głos.

I puścił się galopem w stronę, gdzie stoczyły walkę przednie straż. Julian zastępował po trosze Ranucego, ruszył za księciem, który przybywszy do trupa dzielnego żołnierza, leżącego w otoczeniu pięćdziesięciu przeszło zwłok nieprzyjaciół, zsiadł drugi raz z konia, aby ująć Ranucego za rękę. Julian uczynił toż samo, płacząc.

– Jesteś bardzo młody – rzekł książę do Juliana – ale widzę cię okrytym krwią, a ojciec twój był dzielnym człowiekiem, otrzymał więcej niż dwadzieścia ran w służbie Colonnów. Obejmij dowództwo nad resztkami kompanii Ranucego i odprowadź trupa do kościoła w Petrella; a pamiętaj, że mogą cię napaść w drodze.

Nie napadli Juliana, ale on sam przebił rapierem jednego z żołnierzy, który mu rzekł, że za młody jest, aby dowodzić. Ponieważ Julian był jeszcze okryty krwią Fabia, szaleństwo to wywarło dobre wrażenie. Wzdłuż całej drogi widział drzewa przystrojone jeńcami. Ten ohydny widok w połączeniu ze śmiercią Ranucego, a zwłaszcza Fabia, doprowadzał go niemal do szaleństwa. Jedyłą jego nadzieją było, że imię zwycięzcy Fabia nie wyjdzie na jaw.

Pomijamy szczegóły wojskowe. W trzy dni po tej potyczce Julian zjawił się na kilka godzin w Albano; opowiadał znajomym, że gorączka zatrzymała go w Rzymie, gdzie musiał przeleżeć w łóżku cały tydzień.

Ale wszędzie odnoszono się doń z wyraźnym szacunkiem, najznamienitsi obywatele kłaniali mu się pierwsi, ten i ów tytułował go nawet niebacznie „mości kapitanie”. Julian przeszedł kilka razy koło pałacu Campireali, który był szczelnie zamknięty; że zaś świeży kapitan był bardzo nieśmiały, gdy chodziło o pewne pytania, dopiero koło południa przemógł się na tyle, iż spytał Scottiego, starca, który zawsze okazywał mu wiele dobroci:

– Gdzie są Campireali? Widzę, że pałac ich jest zamknięty.

– Mój przyjacielu – odparł Scotti z nagłym smutkiem – tego nazwiska nigdy nie powinieneś wymawiać. Przyjaciele twoi są pewni, że to on ciebie szukał, i powtórzą to wszędzie; ale ostatecznie on był główną przeszkodą do twego małżeństwa; śmierć jego daje olbrzymi majątek siostrze, która cię kocha. Można nawet dodać – w tej chwili niedyskrecja staje się cnotą – można nawet dodać, iż kocha cię do tego stopnia, że cię odwiedzała w nocy w twoim małym domku w Alba. Toteż można powiedzieć dla waszego dobra, iż byliście mężem i żoną przed nieszczęsną bitwą pod Ciampi (nazwę tę nadano w okolicy bitwie, którą opisaliśmy).

Starzec przerwał widząc, że Julian zalewa się łzami.

– Wstąpmy do gospody – rzekł Julian.

Scotti udał się za nim; dano im pokój, gdzie się zamknęli na klucz, po czym Julian opowiedział starcowi wszystko, co się zdarzyło od tygodnia. Kiedy skończył, starzec rzekł:

– Widzę z twoich łez, że czyn twój nie był obmyślany z góry; mimo to śmierć Fabia jest dla ciebie wielkim nieszczęściem. Trzeba koniecznie, aby Helena oświadczyła matce, że jesteś od dawna jej małżonkiem.

Julian nie odpowiedział, co starzec przypisał chwalebnej dyskrecji. Utopiony w zadumie, Julian pytał sam siebie, czy Helena, przejęta śmiercią brata, zdoła ocenić jego delikatność; żałował tego, co zaszło niegdyś. Następnie na jego pytanie starzec opowiedział mu szczegółowo wszystko, co się działo w Albano w dniu walki. Fabio zginął o wpół do siódmej rano o więcej niż sześć mil od Albano, a o dziewiątej – rzecz nie do wiary! – zaczęto mówić o tej śmierci. Około południa ujrzano starego Campireali zalanego łzami, podtrzymywanego przez dwóch służących, jak się udawał do klasztoru kapucynów. Wkrótce potem trzej dobrzy ojcowie, siedząc na najlepszych koniach Campirealich, w otoczeniu licznej służby udali się do Ciampi, gdzie ta walka miała miejsce. Stary Campireali chciał koniecznie jechać z nimi; ale mu to odradzono z przyczyny, że Fabrycy Colonna jest wściekły (nie bardzo wiadano czemu) i że w razie gdyby go wzięto do niewoli, mogłoby mu się to obrócić na złe.

Około północy zdawało się, że las Faggiola stoi w ogniu; to wszystkie mnichy i wszyscy biedni z Albano, każdy z grubą zapaloną świecą, szli na spotkanie ciała młodego Fabia.

– Nie będę ci tał – ciągnął starzec zniżając głos, jakby się lękał, że go kto usłyszy – że droga, która wiedzie do Valmontone i do Ciampi...

– Cóż takiego? – spytał Julian.

– Ta droga przechodzi pod twoim domem; otóż powiadają, że kiedy trup Fabia znalazł się w tym miejscu, krew trysła z okropnej rany, którą miał na szyi.

– Cóż za okropność! – wykrzyknął Julian, wstając.

– Uspokój się, drogi chłopcze – rzekł starzec – sam widzisz, że trzeba, abyś wiedział wszystko. A teraz mogę ci powiedzieć, że twoja tu dzisiejsza obecność wydała się nieco przedwczesna. Gdybyś mi uczynił ten zaszczyt, aby się mnie poradzić, dodałbym, kapitanie, że nie uchodzi zjawiać się w Albano przed upływem miesiąca. Nie potrzebuję cię ostrzegać, że byłoby niebezpieczne pojawiać się w Rzymie. Nie wiadomo jeszcze, jakie stanowisko zajmie Ojciec Święty wobec Colonnów; przypuszczają, że da wiarę oświadczeniu Fabrycego, który twierdzi, że o bitwie pod Ciampi wie jedynie ze słychu; ale gubernator rzymski, zajadły orsyńczyk, wścieka się i byłby bardzo rad, gdyby mógł powiesić któregoś z dzielnych żołnierzy Fabrycego, o co ten nie mógłby się upominać, skoro przysięga, że nie brał udziału w bitwie. Pójdę dalej i mimo że mnie nie pytasz, pozwolę sobie udzielić ci rady wojskowej: jesteś lubiany w Albano, inaczej nie byłbyś tu bezpieczny. Pomyśl, że się przechadzasz po mieście od kilku godzin, że jakiś stronnik Orsinich może to wziąć za zniewagę lub przynajmniej dojrzeć w tym sposobność zdobycia pięknej nagrody. Stary Campireali powtarzał tysiąc razy, że da najpiękniejszą wioskę temu, kto cię zabije. Powinieneś być wziąć z sobą do Albano kilku żołnierzy, których masz u siebie w domu.

– Nie mam w domu żadnych żołnierzy.

– W takim razie jesteś szalony, kapitanie. Przy tej gospodzie jest ogród, wyjdziemy ogrodem i wymkniemy się przez winnicę. Odprowadzę cię; jestem stary i bez broni, ale jeśli spotkamy jakichś nieprzychylnych ludzi, pomówię z nimi i pomogę ci bodaj zyskać na czasie.

Julian był w rozpacz. Mamyż wyznać jego szaleństwa? Odkąd się dowiedział, że pałac Campireali jest zamknięty, a mieszkańcy jego wyjechali do Rzymu, powziął zamiar odwiedzenia ogródka, gdzie tak często spotykał się z Heleną. Miał nawet nadzieję ujżenia jej pokoju, gdzie go przyjmowała, kiedy matki nie było w domu. Chciał jakby odczynić jej gniew widokiem miejsc, gdzie była dlań tak serdeczna.

Branciforte i szlachetny starzec nie spotkali nikogo niepożądanego, idąc ścieżkami, które przecinają winnicę i biegną ku jezioru.

Julian kazał sobie na nowo opowiedzieć szczegóły pogrzebu Fabia. Ciało dzielnego młodzieńca, prowadzone przez orszak księży, zawieziono do Rzymu i pochowano w kaplicy rodzinnej w klasztorze św. Onufrego na szczycie Janiculum. Jako rzecz bardzo osobliwą zauważono, że w wilię ceremonii ojciec odwiózł Helenę do klasztoru wizytek w Castro, co potwierdziło pogłoski, iż Helena wzięła tajny ślub z awanturnikiem, który miał to nieszczęście, iż zabił jej brata.

Znalazłszy się blisko domu; Julian spotkał kaprała ze swej kompanii z czterema żołnierzami; oświadczyli mu, że dawny ich kapitan nigdy nie opuszczał lasu, nie mając przy sobie kilku ludzi. Księżę powiadał często, iż jeśli ktoś ma ochotę dać się zabić, winien wziąć dymisję, aby mu nie narzucać obowiązku pomszczenia jego śmierci.

Julian Branciforte zrozumiał słuszność tych pojęć, które były mu dotąd obce. Myślał tak jak pierwotne ludy, że wojna polega tylko na tym, aby się mężnie bić. Wszedł natychmiast w intencje księcia; zdążył jedynie uściskać roztropnego starca, który tak wielkodusznie odprowadził go aż do domu.

Ale w kilka dni później Julian, wpółoszalały z melancholii, wrócił, aby ujrzeć pałac Campireali. Skoro zapadła noc, on i trzech jego żołnierzy, przebrani za kupców neapolitańskich, dostali się do Albano. Sam jeden udał się do domu Scottiego; dowiedział się, że Helena wciąż jest w klasztorze w Castro. Ojciec, który sądził, że zaślubiła mordercę jego syna, poprzysiął nie oglądać jej nigdy. Nie widział jej nawet wówczas, gdy ją odwoził do klasztoru. Natomiast czułość matki jak gdyby zdwoiła się; często opuszczała Rzym, aby spędzić dzień lub dwa z córką.

IV

„Jeśli się nie usprawiedliwię wobec Heleny – powiadał sobie Julian, wracając w nocy na kwaterę w lesie – uwierzy w końcu, że jestem mordercą. Bóg wie, co za historie musiano jej opowiedzieć o tej nieszczęsnej walce!”

Udał się po rozkazy księcia do zamku Petrella i poprosił o pozwolenie udania się do Castro. Fabrycy Colonna zmarszczył brwi.

– Sprawa owej utarczki nie jest jeszcze załatwiona z Jego Świątobliwością. Powinieneś wiedzieć, że ja oświadczyłem prawdę, to znaczy, że byłem najzupełniej obcy temu starciu, o którym dowiedziałem się dopiero nazajutrz w Petrella. Mam powód przypuszczać, że Jego Świątobliwość da w końcu wiarę temu szczeremu wyznaniu. Ale Orsiniowie są potężni; wszyscy powiadają, że ty wyróżniłeś się w tej bijatyce. Orsiniowie posuwają się wręcz do twierdzenia, że kilku jeńców zawisło na gałęzi. Wiesz, jak dalece bajki te są fałszywe; ale można przewidywać odwet.

Zdumienie, które błysło w naiwnych spojrzeniach młodego kapitana, ubawiło księcia; mimo to widząc taką niewinność uznał, iż trzeba się wyrazić jaśniej.

– Widzę w tobie – ciągnął – ową doskonałą odwagę, która rozstawiła na całe Włochy nazwisko Branciforte. Mam nadzieję, że zachowasz dla mego domu wierność, która czyniła mi drogim twego ojca i którą chciałbym nagrodzić w tobie. Oto hasło mojej kompanii: nigdy nie powiedziec słowa prawdy o tym, co dotyczy mnie lub moich żołnierzy. Jeżeli w chwili gdy trzeba ci mówić, nie widzisz celu kłamstwa, kłam na los szczęścia, strzeż się jak grzechu śmiertelnego słowa prawdy. Pojmujesz, że skojarzone z innymi wskazówkami mogłoby ono naprowadzić na trop. Poza tym wiem, że ty masz jakąś miłostkę u wizytek w Castro; możesz się zabawić dwa tygodnie w tym miasteczku, gdzie Orsiniowie mają przyjaciół, a nawet agentów. Udaj się do mego marszałka, który ci wyliczy dwieście cekinów. Przez dawną przyjaźń dla twego ojca – dodał książę, śmiejąc się – mam ochotę udzielić ci paru miłosno-strategicznych wskazówek. Ty i trzej twoi żołnierze przebierzecie się za kupców; będziesz się wściekał na jednego ze swoich towarzyszków, który będzie z urzędu wciąż pijany i nawiąże liczne stosunki, stawiając wino wszystkim próżniakom w Castro. Poza tym – dodał książę innym tonem – jeśli cię Orsiniowie pochwyca i wydadzą na śmierć, nie przyznawaj się za nic do prawdziwego nazwiska, a tym mniej do służby u mnie. Nie potrzebuję ci zalecać, abyś okrążał każde miasteczko i wchodził zawsze bramą przeciwną stronie, z której przybywasz.

Te ojcowskie rady z ust człowieka zazwyczaj tak surowego wzruszyły Juliana. Zrazu książę uśmiechnął się z łez, które ujrzał w oczach młodego człowieka; później i jego głos się zmienił. Zdjął jeden z pierścieni, które miał na palcu; przyjmując pierścień Julian ucałował tę rękę słynną znamienitymi czynami.

– Nigdy ojciec mój tak nie mówił do mnie! – wykrzyknął w zachwycie.

W dwa dni później, nieco przed świtem, Julian znalazł się w murach miasteczka Castro. Towarzyszyło mu pięciu żołnierzy w przebraniu jak on; dwaj szli osobno, udając, że nie znają ani jego, ani trzech tamtych. Zanim jeszcze weszli do miasta, Julian ujrzał klasztor Nawiedzenia, rozległy budynek otoczony czarnymi murami, dość podobny do fortecy. Pobiegł do kościoła, który był wspaniały. Zakonnice, wszystko szlachcianki, przeważnie z bogatych domów, prześcigały się, która z nich bardziej wzbogaci ten kościół, jedyną część klasztoru dostępną oczom publiczności. Weszło w zwyczaj, że siostra, którą papież mianował ksienią na podstawie listy trzech nazwisk przedstawionej przez kardynała, protektora klasztoru, składała znaczną ofiarę mającą uwiecznić jej imię. Ta, której dar był mniejszy od daru poprzedniczki, stawała się przedmiotem wzgardy, zarówno jak jej rodzina.

Julian posuwał się, drżący, nawą wspaniałej budowli, lśniącej od marmurów i złoceni. Co prawda niewiele myślał o marmurach i złoceniach; miał uczucie, że patrzają nań oczy Heleny. Wielki ołtarz, powiadano mu, kosztował przeszło osiemset tysięcy franków; ale spojrzenia jego, gardząc bogactwami ołtarza, biegły ku złoconej kracie, wysokiej blisko na czterdzieści stóp i podzielonej na

trzy części dwoma olbrzymimi marmurowymi filarami. Krata ta, której ogrom sprawiał straszliwe wrażenie, wznosiła się za wielkim ołtarzem i dzieliła chór klasztorny od kościoła otwartego dla wiernych.

Julian powiadał sobie, że za tą złoconą kratą znajdują się w czasie nabożeństwa zakonnice i pensjonariuszki klasztoru. Do tej części kościoła mogła się udać o każdej porze zakonnica lub pensjonariuszka, która się chciała modlić; na tej wszystkim znanej okoliczności biedny kochanek budował nadzieje.

Prawda, iż olbrzymia czarna zasłona wyścielała wewnętrzną stronę kraty, „Ale ta zasłona – myślał Julian – nie powinna krępować wzroku pensjonariuszek spoglądających w kościół, skoro ja, mogąc się zbliżyć jedynie na pewną odległość, widzę doskonale przez zaslonę okna oświetlające chór aż do najdrobniejszych architektonicznych szczegółów.” Każde wiązanie tej wspaniale złoconej kraty miało silne ostrze, zwrócone ku publiczności.

Julian wybrał miejsce bardzo widoczne, na wprost kraty, po lewej, w części najlepiej oświetlonej; tam słuchał jednej mszy po drugiej. Ponieważ otaczali go sami tylko chłopcy, miał nadzieję, iż zwróci na siebie uwagę nawet przez czarną zasłonę. Pierwszy raz w życiu skromny ten młodzian starał się ściągnąć uwagę; przybrał się dostatnio i sypał hojnie jałmużny tak wchodząc, jak wychodząc. Jego ludzie i on sam starali się o względy robotników i drobnych kupców mających jakieś stosunki z klasztorem. Mimo to dopiero trzeciego dnia zyskał nadzieję, iż zdoła przesłać Helenie list. Na jego rozkaz zaczęto pilnie śledzić dwie służebniczki wychodzące na zakupy dla klasztoru; jedna utrzymywała stosunek z kramarzem. Jeden z żołnierzy Juliana, który był niegdyś mnichem, pozyskał przyjaźń kramarza i przyrzekł mu cekina za każdy list doręczony pensjonariuszce klasztoru Helenie Campireali.

– Co! – rzekł kupiec na pierwsze słowo – list *żonie bandyty!*

Przydomek ten był już uświęcony w Castro, a nie było jeszcze dwóch tygodni od przybycia Heleny: tak dalece wszystko, co uderza wyobraźnię, szybko dostaje się w obieg u tego ludu łakomego dokładnych szczegółów!

Kramarz dodał:

– Ta przynajmniej jest zamężna! Ale ileż naszych dam nie ma tej wymówki, a otrzymują ze świata coś więcej niż listy!

W tym pierwszym liście Julian opowiadał szczegółowo wszystko, co się zdarzyło w nieszczęsnym dniu śmierci Fabia. „Czy mnie nienawidzisz?” – pytał w końcu.

Helena odpowiedziała w kilku słowach, że nie nienawidzi nikogo, ale że postanowiła obrócić resztę dni na to, aby zapomnieć o człowieku, przez którego brat jej zginął.

Julian odpisał znowu; po kilku obelgach pod adresem losu (styl naśladowany z Platona i bardzo wówczas w modzie) tak pisał:

Chcesz tedy podać w niepamięć słowo Boga przekazane nam w Piśmie? Bóg powiada: „Niewiasta opuści krewnych i rodziców, aby iść za swym małżonkiem.” Śmiałażbyś twierdzić, że nie jesteś moją żoną? Przypomnij sobie noc św. Piotra. Kiedy świt błyskał już za Monte Cavi, padłaś do moich kolan; zlitowałem się nad Tobą; byłabyś moją, gdybym zechciał; nie mogłaś przemóc miłości, która parła Cię w tej chwili w moje objęcia. Nieraz myślałem, że ponieważ powtarzałem Ci wiele razy, iż poświęciłem Ci moje życie i wszystko najdroższe mi na świecie, mogłabyś odpowiedzieć (mimo że nie uczyniłaś tego nigdy), że wszystkie te ofiary, nie stwierdzone żadnym czynem, są jedynie urojone. Olśniła mnie pewna myśl, okrutna dla mnie, ale słuszna. Pomyślałem, że nie na darmo los daje mi sposobność poświęcenia dla Twego dobra najwyższego szczęścia, o jakim mogłem kiedy marzyć. Byłaś już w moich ramionach, bez obrony, pamiętasz: usta Twoje nawet nie umiały się wzbraniać. W tej chwili ranne *Ave* rozległo się w klasztorze Monte Cavi i cudownym trafem dźwięk ten doleciał do nas. Rzekłaś mi: „Uczyni to poświęcenie dla świętej Madonny, matki wszelkiej czystości.” Powziąłem już od kilku chwil myśl tego najwyższego poświęcenia, jedyne zaiste, jakie

miałem sposobność dla Ciebie uczynić. Uderzyło mnie, że Tobie przyszła ta sama myśl. Odległy dźwięk tego *Ave Maria* wzruszył mnie, wyznaję! Usłuchałem Twojej prośby. Nie cała ofiara była dla Ciebie; oddałem nasz przyszły związek pod opiekę Madonny. Myślałem wówczas, że przeszkody zajdą nie z Twojej strony, niewierna, ale ze strony Twej bogatej i dumnej rodziny. Gdyby nie było w tym czegoś nadprzyrodzonego, w jaki sposób ten *Anioł Pański* doszedłby do nas z tak daleka, ponad wierzchołki leśne, poruszane wiatrem rannym? Wówczas, pamiętasz, ukłękłaś przede mną; ja wstałem, wyjąłem krzyżyk, który noszę na piersiach, i Ty przysięgłaś na ten krzyżyk, na który patrzę w tej chwili, i na swoje wieczne potępienie, że gdziekolwiek byś się znalazła, co bądź mogłoby się zdarzyć, natychmiast, kiedy ci rozkażę, oddasz się zupełnie do mego rozporządzenia, jak byłaś w chwili, gdy *Ave Maria* z Monte Cavi doleciało z tak daleka Twego ucha. Następnie odmówiliśmy pobożnie dwa *Zdrowaś* i dwa *Ojciec nasz*. Otóż, na miłość, którą czułaś wówczas, a jeżeli zapomniałaś o niej, jak się obawiam, na Twoje wieczne potępienie rozkazuję Ci przyjąć mnie tej nocy w swojej celi lub w ogrodzie klasztornym.

Włoski autor ściśle przytacza liczne i długie listy Juliana Branciforte; ale podaje jedynie w skróceniu odpowiedzi Heleny Campireali. Po upływie dwustu siedemdziesięciu ośmiu lat jesteśmy tak dalecy od uczuć miłości i religii wypełniających te listy, że lękam się, aby nie znużyły czytelnika.

Zdaje się z tych listów, że Helena usłuchała wreszcie rozkazu zawartego w tym liście, który przetłumaczyłem w skrócie. Julian znalazł sposób, aby się dostać do klasztoru; z pewnych słów można wnosić, że się przebrał za kobietę. Helena zgodziła się z nim widzieć, ale jedynie przez kratę parterowego okna wychodzącego na ogród. Ku swej niewymownej boleści Julian spostrzegł, że młoda dziewczyna, niegdyś tak tkliwa, a nawet tak namiętna, stała się dlań jakby obca; odnosiła się doń niemal *uprzejmie*. Pozwalając mu przyjść do ogrodu, czyniła to prawie wyłącznie przez cześć dla swego ślubu. Widzenie było krótkie: po kilku chwilach duma Juliana, może nieco podniecona wypadkami ubiegłych tygodni, wzięła górę nad głębokim bólem.

– Widzę przed sobą – rzekł – jedynie grób tej Heleny, która w Albano oddała mi się rzekomo na całe życie.

Całym wysiłkiem Juliana było ukryć łzy, które zalewały mu twarz, w miarę jak Helena, mówiąc doń, szukała przystojnych zwrotów. Kiedy skończyła usprawiedliwiać zmianę, tak naturalną (powiadała) po śmierci brata, Julian odparł, wymawiając słowa bardzo wolno:

– Nie spełniasz ślubu, nie przyjmujesz mnie w ogrodzie, nie jesteś u mych kolan, jak było wówczas, kiedy usłyszeliśmy *Ave* z Monte Cavi. Zapomnij o swym ślubie, jeśli możesz; co do mnie, nie zapominam niczego; Bóg z tobą!

To mówiąc, opuścił okratowane okienko, przy którym mógł zostać jeszcze godzinę. Kto by mu powiedział chwilę przedtem, że skróci dobrowolnie tak upragnione widzenie! To poświęcenie rozdierało jego duszę; ale pomyślał, że zasłużyłby na wzgardę Heleny, gdyby odpowiedział na jej *uprzejmość* inaczej, niż zostawiając ją na pastwę wyrzutów.

Przed świtem opuścił klasztor. Natychmiast wsiadł na koń, dając żołnierzom rozkaz, aby nań czekali w Castro cały tydzień, potem zaś aby wrócili do lasu; był pijany rozpaczą. Najpierw obrócił się w stronę Rzymu. „Jak to! Oddalam się od niej! – powiadał sobie za każdym krokiem. – Jak to! Staliśmy się sobie obcy! O Fabio, jakżeś jest pomszczony!”

Widok ludzi, których spotykał, pomnażał jego wściekłość; pchnął konia w pole i skierował się ku pustemu morskemu wybrzeżu. Kiedy go już nie drażnił widok spokojnych wieśniaków, którym zazdrościł doli, odetchnął; obraz tych dzikich miejsc zgodny był z rozpaczą i łagodził jego gniew, mógł się oddać rozważaniom swego smutnego losu. „W moim wieku – powiadał sobie – mam jeden ratunek: pokochać inną kobietę!”

Na tę smutną myśl uczuł nowy przyptyk rozpaczki: zrozumiał aż nadto, że istnieje dlań tylko jedna. Wyobrażał sobie mękę, jaką by cierpiał, gdyby się ważył zwrócić słowa miłości do innej; ta myśl rozdierała go. Ogarnął go gorzki śmiech. „I oto jestem pomyślał – jak owi bohaterowie z

Ariosta, którzy wędrują sami przez odludne kraje, kiedy im trzeba zapomnieć, że ujrzeli przewrotną kochankę w objęciach innego rycerza... Nie, ona nie jest tak winna – mówił sobie, zalewając się łzami po napadzie szalonego śmiechu – niewierność jej nie posuwa się aż do miłości innego. Ta gorąca i czysta dusza dała się omamić okrutnym bajkom, jakie jej o mnie powiadano; przedstawiono mnie z pewnością jako człowieka, który chwycił za broń w tej nieszczęsnej wyprawie jedynie, aby zamordować jej brata. Posunięto się z pewnością dalej: przypisano mi tę brudną rachubę, iż skoro brat jej padnie, ona stanie się dziedziczką olbrzymich włości... I ja popełniłem to szaleństwo, aby ją całe dwa tygodnie zostawić podszeptom moich wrogów! Trzeba przyznać, że jeśli jestem bardzo nieszczęśliwy, niebo pozbawiło mnie też rozumu do kierowania mym życiem! Jestem bardzo nędzny, bardzo godzien wzgardy! Życie moje nie zdało się na nic nikomu, a mnie samemu mniej niż komukolwiek w świecie.”

W tej chwili młody Branciforte uczył pokusę bardzo w tej epoce rzadką: koń kroczył samym brzegiem, tak że chwilami fala zalewała jego kopyta; przyszło Julianowi na myśl, aby go pchnąć w morze i położyć w ten sposób koniec okrutnemu losowi, którego był pastwą. Co pocnie z sobą, skoro jedyna istota, która dała mu niekiedy uczuć istnienie szczęścia, opuściła go! Ale zatrzymała go jedna myśl: „Czym są męki, które cierpię – powiedział sobie – w porównaniu z tymi, które wycierpię kiedyś, skoro raz zakończę to nędzne życie? Helena nie będzie już dla mnie po prostu obojętna jak teraz; ujrzę ją w ramionach rywala, a rywalem tym będzie jaki panek rzymski, bogaty i *poważany*; aby bowiem udręczyć moją duszę, biesy będą szukały najokrutniejszych obrazów, to ich obowiązek. Tak więc nie zdołam znaleźć zapomnienia o Helenie, nawet w śmierci; co więcej, miłość moja zdwoi się, skoro to jest najpewniejszy środek, jaki znajdzie wiekuista potęga, aby mnie skarać za okropny grzech, który popełniłem.”

Aby do reszty odpędzić pokusę, Julian zaczął pobożnie odmawiać *Zdrowaś!* Dźwięk porannego *Ave*, modlitwy poświęconej Madonnie, omamił go niegdyś i skłonił do szlachetnego czynu, który obecnie uważał za największy błąd swego życia. Ale przez szacunek nie śmiał posuwać się dalej i wyrazić całej myśli. „Jeżeli z natchnienia Madonny popełniłem straszny błąd, czyż nie powinna ona, w swej nieskończonej sprawiedliwości, znaleźć jakiegoś sposobu, aby mi wrócić szczęście?”

Ta myśl o sprawiedliwości Madonny ukołowała stopniowo jego rozpacz. Podniósł głowę i ujrzął na wprost siebie, za Albano i jego lasami, owo Monte Cavi, okryte ciemną zielenią, i ów święty klasztor, którego ranne *Ave* przywiodło Juliana do tego, co nazywał obecnie haniebną głupotą. Niespodziewany widok świętego miejsca pocieszył go.

– Nie – wykrzyknął – niepodobna, aby mnie Madonna opuściła! Gdyby Helena była moją żoną, jak się na to godziło jej serce i jak tego żądała moja godność męska, wieść o śmierci brata byłaby napotkała w jej duszy pamięć węzłów spajających ją ze mną. Powiedziałyby sobie, że należała do mnie dawno przed nieszczęsnym wypadkiem, który na polu bitwy zetknął mnie z Fabiem. Był o dwa lata starszy ode mnie, bieglejszy w robieniu bronią, dzielniejszy, silniejszy. Tysiąc argumentów stanęłoby mej żonie za dowód, że ja nie szukałem walki. Przypomniałyby sobie, że nigdy nie żywiłem nienawiści do jej brata, nawet wówczas, gdy wypalił do niej z muszkietu. Pomnę, że na pierwszej schadzce, po powrocie z Rzymu, mówiłem: „Cóż chcesz? honor tak nakazywał; nie mogę go potępić jako brata!”

Odzyskawszy nadzieję mocą nabożeństwa do Madonny, Julian pchnął żywiej konia i w kilka godzin przybył na kwaterę swej kompanii. Zastał ją na wymarszu: ruszono na gościniec wiodący z Neapolu do Rzymu, przez Monte Cassino. Młody kapitan zmienił konia i ruszył z żołnierzami. Nie bito się tego dnia. Julian nie spytał, po co idą, mało go to obchodziło. W chwili gdy się znalazł na czele żołnierzy, los jego przedstawił mu się z innej perspektywy. „Jestem po prostu głupiec – powiedział sobie – nie powinienem był opuszczać Castro. Helena jest prawdopodobnie mniej winna, niż sobie wyobraziłem w pierwszym uniesieniu. Nie, ta dusza tak prosta i czysta, której pierwsze drgnienia miłosne zrodziły się w mych oczach, nie przestała należeć do mnie! Kochała mnie tak głęboko, tak szczerze! Czyż nie ofiarowywała się dziesięć razy uciec ze mną, biedakiem, aby wziąć ślub u

jakiego mnicha w Monte Cavi! Powinienem być w Castro uzyskać przede wszystkim drugą schadzkę i przemówić jej do rozsądku. Doprawdy, namiętność czyni mnie niedorzecznym jak dziecko! Boże, czemuż nie mam przyjaciela, aby go błagać o radę! Ten sam krok wydaje mi się w ciągu dwóch minut na przemian okropny i wyborny!”

Wieczorem, kiedy kompania opuszczała gościniec, aby wrócić do lasu, Julian zbliżył się do księcia i spytał, czy nie mógłby zostać jeszcze kilka dni w wiadomym miejscu.

– Ruszaj do wszystkich diabłów! – wrzasnął Fabrycy. – Czy myślisz, że to jest czas na głupstwa?

W godzinę później Julian puścił się z powrotem do Castro. Zastał tam swoich ludzi; ale po swym wyniosłym rozstaniu z Heleną nie wiedział, jak pisać do niej. Pierwszy jego list zawierał tylko te słowa: „Czy zechcesz mnie przyjąć najbliższej nocy?” – „Możesz przyjść” – było też jedyną odpowiedzią.

Po odejście Juliana Helena sądziła, że ją rzucił na zawsze. Wówczas uczuła całą wagę słów zrozpaczonego młodzieńca: była jego żoną, nim miał nieszczęście spotkać jej brata na polu bitwy.

Tym razem Julian nie spotkał się z ową sztywnością, która zraniła go tak boleśnie pierwiej. Helena przyjęła go, co prawda, również przez kratę, ale widać było, że drży; że zaś Julian przemawiał bardzo wstrzemięźliwie, prawie tak jak do obcej, tym razem Helena odczuła, jak okrutny może być ów ton niemal urzędowy, gdy następuje po słodkiej zażyłości. Julian, który lękał się zwłaszcza usłyszeć jakieś zimne słówko, które by mu zraniło duszę, przemawiał tonem adwokata, dowodząc, że Helena była jego żoną na długo przed nieszczęsną walką pod Ciampi. Helena pozwoliła mu mówić; lękała się, że ją zdławia łyzy, w razie gdyby rzekła coś ponad oderwane słowa. W końcu widząc, iż jeszcze chwila, a zdradzi się; poprosiła Juliana, aby wrócił nazajutrz. Tej nocy, jako w wilię uroczystego święta, odprawiano jutrznię wcześniej, tak iż schadzka ich łatwo mogła wyjść na jaw. Julian, który rozumował jak zakochany, opuścił ogród w głębokiej zadumie; nie umiał rozstrzygnąć, czy go Helena przyjęła dobrze, czy źle. W głowie zaczynały mu świtać pojęcia nabyte z rozmów z kompanami: „Któregoś dnia – powiedział sobie – trzeba będzie wykraść Helenę.”

I zaczął rozpatrywać sposoby dostania się siłą do klasztoru. Ponieważ klasztor był bogaty i kuszący do grabieży, utrzymywał znaczną ilość służby, przeważnie byłych żołnierzy; pomieszczono ich w koszarach, których zakratowane okna wychodziły na wąski korytarz. Korytarz ten szedł od bramy klasztornej wybitej w czarnym murze, wysokim na osiemdziesiąt stóp, do furty strzeżonej przez siostrę odźwierną. Po lewej stronie tego wąskiego korytarza znajdowały się koszary, po prawej mur ogrodowy, wysoki na trzydzieści stóp. Front klasztoru, wychodzący na plac, była to gruba ściana, szerniała od starości; jedyne jej otwory to była brama oraz okienko pozwalające żołnierzom wyglądać na zewnątrz. Można osądzić, jak ponure wrażenie sprawiała ta ściana z bramą wzmocnioną szerokimi blachami żelaza, przybitymi za pomocą ogromnych gwoździ, oraz jednym okienkiem cztery stopy wysokim, a osiemnaście cali szerokim.

Nie podążamy za kronikarzem w długim opowiadaniu schadzek, które Julian wyprosił u Heleny. Stosunek odzyskał serdeczność, jaką miał niegdyś w ogrodzie w Albano; jednakże Helena nigdy nie zechciała wyjść do ogrodu. Pewnej nocy uderzyła Juliana jej zaduma: matka przybyła z Rzymu, aby ją odwiedzić, i zamieszkała na kilka dni w klasztorze. Matka była zawsze tak tkliwa, tyle okazywała delikatności dla uczuć, których domyślała się w córce, że Helena czuła głębokie wyrzuty, iż musi ją oszukiwać: jakże bowiem ośmieliłaby się wyznać, że miewa schadzki z mordercą jej syna? W końcu Helena wyznała szczerze Julianowi, że jeśli ta dobra matka zapyta ją wprost, nie będzie miała siły jej okłamywać. Julian uczył całe niebezpieczeństwo; los jego zależał od przypadku, który mógł podsunąć jakieś słowo pani Campireali. Następnego nocy przemówił stanowczym tonem w ten sposób:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.